

JUTRO POLSKI DWUTYGODNIK

POLISH FORTNIGHTLY "POLAND OF TO-MORROW"

TREŚĆ

Opozycja a demokracja —
Adam Romer
Drogi do Polski —
Karol Leskowiec
Z mych wspomnień — St. Grabski
Urojenia "Myśli Polskiej" —
Br. Załęski
Gmina zbiorowa czy pojedyń —
cza? — W. Komar
Stanowisko Kraju — W. Zaremba
Zbyt głupie kłamstwo —
Próżne wykryty — *
Ekspansja czy asymilacja —
St. Sopiński
Przegląd polityczny — T.K.

No 28/29

20 NOVEMBER — LISTOPAD 1943

CENA 1/-

OPOZYCJA A DEMOKRACJA

Część uchodźstwa polskiego zajmuje stanowisko jaskrawo opozycyjne wobec Rządu R.P., zwalczając Rząd ten w sposób niepraktykowany w innych demokracjach w czasie wojny. Opozycja tłumaczy tą swoją taktykę rzekomą koniecznością wymuszenia realizacji "prawdziwej jedności narodowej." Ponadto walka z Rządem prowadzona jest w imię rzekomej potrzeby "obrony granic," oraz pod hasłem przeciwstawienia się rzekomym "robotniczo-chłopskim tendencjom Rządu."

Skrajne metody zwalczania Rządu w czasie trwania wojny — i to wojny w najtragiczniejszych warunkach prowadzonej o byt lub niebyt narodu — z natury rzeczy są potępienia godne i mogą jedynie — wbrew choćby najlepszym intencjom — przynieść korzyść wspólnemu wrogowi. Nie ma rządów jedności narodowej ani w Kanadzie ani w Australji, a jednak żadnemu z działaczy opozycyjnych w tych krajach nie przyjdzie do głowy pomysł dania żeru propagandzie nieprzyjacielskiej przez rzucanie inwektyw zohydzających "reżim." Tylko w Południowej Afryce walka opozycji z rządem jest bezwzględna ale tam opozycja jest przeciwna udziałowi kraju w wojnie. Lecz i tam opozycja nie posługuje się kłamstwami i insynuacjami w rodzaju pomawiania szefa rządu o szukanie oparcia u obcych.

Polska posiada jednak Rząd Jedności Narodowej i to Rząd uznany jako taki przez krajową "reprezentację polityczną." Reprezentacja ta jest wyrazem jedności narodowej w Kraju, i oparta jest o zorganizowaną współpracę czterech stronnictw. Autorytet reprezentacji politycznej, ściśle współdziałającej z pełnomocnikiem Rządu w Kraju, jest kwestionowany jedynie przez komunistów, prowadzących w Polsce swoją robotę destrukcyjną dla walki z własnym narodem pod rozkazami emisariuszy Wandy Korniejczuk-Wasilewskiej. Reprezentacja polityczna z jednej strony przechodzi do porządku dziennego nad rozłamem wśród przedstawicieli Stronnictwa Narodowego w W. Brytanii z drugiej przeciwną jest jakimkolwiek udziałowi t.zw. "sanacji" w Rządzie. Reprezentacja ta zresztą wypowiedziała się bardzo konkretnie w sprawie powołania nowego premiera i nowego Rządu. Nie wiem, kto miałby sumienie chcieć się tak jasno wyrażnej woli Kraju przeciwstawić.

W takiej więc sytuacji, kiedy Rząd pod względem swojego zasadniczego składu politycznego jest wiernym odbiciem Krajowej Jedności Narodowej — żądanie stworzenia odmiennej jedności na emigracji jest bezpodstawne. Nie ma rozłamu

w Stronnictwie Narodowym, a istnieje jedynie zatarg wśród członków ułamku tego Stronnictwa na emigracji, przyczem nawet fakt przejścia do opozycji samego prezesa tego stronnictwa — nie zaważył bynajmniej na ustosunkowaniu się Stronnictwa Narodowego w Kraju do Rządu. Nie ma rozłamu w PPS, a wewnętrzne tarcia wśród członków tego stronnictwa nas nie obchodzą. W stronnictwach Ludowym i Pracy przedstawicielstwa ich w Rządzie są szczególnie "autorytatywne." Stronnictwa te są zresztą wewnętrznie, wbrew pogłoskom-zasadniczo solidarne, a istnienie wyjątków w postaci t.zw. outsider'ów partyjnych mogłoby tylko figlarza upoważnić do snucia kombinacji przesileniowych w oparciu o nich.

Rozumiem, że można się dopatrzyć nierównomiernego udziału w Rządzie wszystkich Stronnictw Jedności Narodowej oraz wychodzić z założenia potrzeby powołania do Rządu "fachowców." Trzeba jednak pamiętać, że trudno niezmiernie o połączenie kwalifikacji fachowych z wymaganiami naczelnej reprezentacji partyjno-politycznej. Z drugiej strony trudno również o bezpartyjnych fachowców bez żadnej marki "politycznej." Tworzenie gabinetu powszechnego kompromisu i równowagi z udziałem fachowców trudno zrealizować bez mimowolnej przewagi dzięki "fachowcom" — jednej części ministrów "partyjnych" nad drugą.

Jakkolwiekby, podstawowe zasady demokratyczne wymagają kategorycznie, by zanim będzie się mógł swobodnie wypowiedzieć Sejm R.P., Rząd posiadał pełne zaufanie Kraju, a zaufanie to może być wyrażone jedynie przez reprezentację polityczną. Rada Narodowa, będąca namiastkiem reprezentacji parlamentarnej na emigracji, jest, jak wiadomo, oparta zasadniczo o szersze podstawy aniżeli reprezentacja polityczna w Kraju, mając w swoim łonie również przedstawicieli pomniejszych ugrupowań oraz osoby całkowicie bezpartyjne. Stosunek Rady Narodowej do Rządu jest znany. Zakwestionowanie mandatów Klubu Narodowego w Radzie Narodowej przez bawiących w Londynie członków Prezydium Stronnictwa Narodowego stanowi przedmiot sporu pomiędzy zarządem Stronnictwa a Klubem Narodowym. Tylko na tej płaszczyźnie może i powinien on być załatwiony. Skoro Kraj rozłamu na emigracji nie uznaje, nie może być rzeczą Rządu mieszanie się do wewnętrznych spraw jednego ze stronnictw. Natomiast stronnictwo to winno poddać się życzeniom Kraju.

Trzeba też pamiętać, że od samego początku Rząd Jedności Narodowej, stworzony przez gen. Sikorskiego nie opierał się na zasadzie "delegowania" ministrów przez stronnictwa, lecz zwrócenia się Premiera o współpracę do poszczególnych, wybitnych członków tych stronnictw. Póki Kraj stał i stoi twardo na gruncie solidarności czterech Stronnictw w popieraniu Rządu, nie ma żadnej podstawy do narzucania Szefowi Rządu wyboru współpracowników.

Operowanie więc przez opozycję argumentem "niezadowolenia opinii publicznej" czy też braku "pełnej jedności narodowej" nie ma większego znaczenia. Społeczeństwo emigracyjne ma oblicze wysoce przypadkowe i dalekie jest od odzwierciedlenia społeczeństwa w Kraju. Rząd zaś opiera się zasadniczo o zorganizowaną jedność narodową w

Kraju i nie potrzebuje się oglądać na rysy w tej jedności wśród chorego psychicznie światka uchodźstwa.

Dlatego też Rząd jest demokratyczny, a opozycja dąży do dyktatury mniejszości w oparciu o nic nie mówiącą strukturę emigracji.

Wielu nawet marzy o powrocie reżimu sanacyjno-militarystycznego w rzekomym interesie "inteligencji," zapominając, że właśnie ten typ rządów jest odpowiedzialny za fatalne skutki jędrzejewiczowskich reform. Wszelkie faszyzmy są zabójcze dla inteligencji. O obronie granic ze strony opozycji lepiej nie rozводить się... Jeżeli dziś są ludzie na świecie, dopuszczający myśl o istnieniu Polaków "ugodowych" w sprawie granic, to jest to tylko "zatluga" opozycji.

Adam Romer.

DROGI DO POLSKI

Nie znamy planów wojennych, uzgodnionych przez sztaby Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii. Nie wiemy, jakie są zamiary polskiego Naczelnego Dowództwa. Wiemy zaś, że sytuacja wojenna może ulec jeszcze dużym zmianom, zmuszając do przekreślenia niektórych planów i opracowania nowych. Czy w tych warunkach jest celowe snucie czysto indywidualnych domysłów i przewidywań na temat dróg powrotu do Polski? Sądzę, że tak. Nie zmieniają się bowiem warunki geograficzne oraz niektóre fakty polityczne, które odegrały ogromną rolę w końcowej fazie wojny.

Pewien znajomy, który z początkiem bieżącego roku przybył z kraju do Londynu, mówił mi, że nasi żołnierze spodziewali się wracać przez Turcję. Liczono, że w maju lub czerwcu 1943 r. Turcja znajdzie się w wojnie (albo napadnięta przez Niemców, albo z innych powodów) i wtedy wojska polskie pospieszą jej na pomoc, by następnie przez Bułgarię i Rumunię dotrzeć do Polski.

Niektórzy mówili, że to najlepsza droga do Polski. Jest to wielka pomyłka. Turcja ma dość ubogą sieć drogową i kolejową. Główne szlaki biegają przez strome góry, przełęcze są wąskie i nieliczne. To też nawet przy wielkich ułatwieniach, jakie zawsze otrzymuje armia sojusznicza, pochód armii polskiej nie byłby błyskawiczny. Dużo się tam wprawdzie zmieniło

od poprzedniej wojny, ale kto zna historię tej wojny światowej, ten wie, z jakimi trudnościami transportowymi walczyli Niemcy i jak trudno było wysyłać ludzi i materiał na ówczesne fronty w Palestynie i Iraku.

Bosfor też nie jest drobiazgiem. Przeprawa z brzegu azjatyckiego na europejski zajęłaby trochę czasu. Dalej jest Bułgaria, też poprzecinana górami i posiadająca armię, jeszcze nieużyta, choć co prawda słabo uzbrojona. Wreszcie jest dolny Dunaj. Między Rumunią a Bułgarią (w jej starych granicach) niema żadnego mostu żelaznego. Można więc wyobrazić sobie, jak trudny byłby przemarsz armii z jej ciężkim sprzętem.

Rozważmy teraz inne możliwości. Np. lądowanie w Salonikach i pochód doliną Wardaru do południowej Serbii, a następnie ku Belgradowi. Ta droga byłaby również bardzo trudna. Linia kolejowa Saloniki — Nisz — Belgrad biegnie zboczami stromych gór i usiana jest tunelami, które łatwo zburzyć. Szosy są nieliczne i w złym stanie.

Lądowanie w Albanii lub u wybrzeży Czarnogóry też nie otworzyło by najkrótszych i najłatwiejszych dróg do Polski.

Wydaje mi się, że z całej Jugosławii jako punkt wyjściowy najbardziej nadawałby się Suszak, sąsiadujący z Rieką (Fiume). Właściwa Chorwacja jest krajem bogatym w szosy i linie kolejowe. Niema tam ani wysokich gór ani szerokich rzek. Od

Z MYCH WSPOMNIENI

Dotychczas pisałem niemal wyłącznie o przyszłości Polski. Nieraz jednak uzasadniałem swe wnioski, dotyczące naszego dnia jutrzejszego, rozważaniami historycznymi i wspomnieniami osobistymi przemian, jakie się dokonywały w naszym narodzie i poszczególnych jego warstwach w ostatnim półwieczu. Z rozmów z bliższymi i dalszymi przyjaciółmi na temat tych artykułów zobaczyłem, że dzisiejsze młode nasze pokolenie ma naprawdę bardzo niedokładną i co gorsza często sfałszowaną przez tendencyjną pseudo-historyczną literaturę znajomość dziejów powstania i ewolucji nowoczesnej naszej myśli społecznej i politycznej — ale bardzo by pragnęło wiedzieć, jak też to naprawdę było. Z różnych też stron domagano się odemnie, bym jako naoczny świadek i współuczestnik kształtowania się ideologii głównych naszych stronnictw politycznych, a dziś stojący po za nimi wszystkimi i nieobciążony żadnymi partyjnymi animozjami — dał naprawdę obiektywną relację mych przeżyć i obserwacji społeczno-politycznych w ciągu ubiegłych pięćdziesięciu kilku lat.

Nie bardzo się do tego kwapiłem. Wolę pisać o tym, co powinno być, niż o tym, co było. Zwrócono mi jednak uwagę, że

tak mało już zostało ludzi mego pokolenia — tylu ich zostało pomordowanych i pomarło w czasie obecnej wojny, że jestem jednym z paru ostatnich jeszcze żyjących świadków tego, co czyniły i stronnictwa i organizacje społeczno-kulturalne i warstwy narodu we wszystkich trzech zaborach na przełomie XIX i XX wieku, oraz w czasie ubiegłej wojny i w pierwszym dziesięcioleciu odzyskanej niepodległości.

Nie prowadziłem wszakże pamiętnika. I nie sędzę, by kogokolwiek interesowało moje osobiste życie. Nie zamierzam więc o nim pisać. Pragnę dać czytelnikom "Jutra Polski" wspomnienia me nie o sobie, lecz o społecznych środowiskach, wśród których się obracałem, o przemianach pojęć i stosunków, na które patrzyłem, o walkach i pracach, z którymi miałem do czynienia, o organizacjach, w których brałem udział lub z którymi się ściierałem, o wybitnych ludziach, z którymi się stykałem.

Zaczynam od kilku wspomnień o życiu młodzieży gimnazjalnej w Królestwie w osmdziesiątych latach przeszłego wieku.

* * *

Gimnazjum rosyjskie w Królestwie — to był dla nas uczniów teren raczej walki z władzą szkolną, niż kształcenia się pod kierownictwem nauczycieli.

ludności można chyba oczekiwać życzliwego przyjęcia. Bedzie ona witać w Polakach nie tylko Słowian, ale i katolików. Trudności językowe będą mniejsze niż gdzieindziej.

Z Chorwacji najłatwiejsza droga wiedzie przez zachodnie Węgry ku Słowacji. Wydaje mi się, że tam również można spodziewać się życzliwego przyjęcia. Pewnych trudności można się spodziewać np. na Rusi Podkarpackiej, gdyby tam w momencie katastrofy Niemcy władzę pochwyciły jakieś antypolskie żywioły ukraińskie. Słowacy natomiast chyba nie zajmą wobec nas wrogiej postawy zwłaszcza, jeśli jeszcze przed końcem wojny zdołamy utwierdzić w nich przekonanie, że do Czechosłowacji odnosimy się jak najprzyjaźniej.

Nie wolno oczywiście zapominać że wojska posuwające się przez Chorwację i zachodnie Węgry musiałyby się niemal ocierać o Koryntę, Styrię, dolną Austrię. Niemcy nie patrzyliby obojętnie na taki marsz. To też nie przewiduję możliwości tego powrotu w czasie wojny. Będzie on jednak możliwy w chwili załamania się Niemiec, w okresie podpisywania zawieszenia broni lub rozkładu armii niemieckiej, gdyby się wojna w ten sposób miała zakończyć. Nim to nastąpi, wojskom polskim przyjdzie zapewne walczyć na różnych innych odcinkach. Ale jeśli choć część armii ze Środkowego Wschodu znajdzie się na wybrzeżach Adriatyku, to szanse szybkiego powrotu do Polski znacznie wzrosną.

A jaką drogą mają wracać wojska polskie stacjonowane w W. Brytanii? Sądzę, że powinny wracać okrętami, na polskie Pomorze. Jeśli w toku wojny Niemcy zostaną wyparci z Francji a oddziały polskie w walce z nimi dojdą do linii Siegfieda, to wtedy może najwłaściwsza będzie droga wprost przez Niemcy do Wielkopolski i Śląska. Może to zależeć także od tego, czy w Niemczech będzie jaki taki ład, czy też anarchia i wojna domowa, w jakim stanie będą mosty na liniach kolejowych i autostradach.

Jeśli jednak Niemcy runą na skutek klęsk w Rosji lub we Włoszech i na Bałkanach względnie jeśli Sprzymierzeni wylądują nie we Francji, lecz w Holandii, Danii lub południowej Norwegii, to wtedy najkrótszą będzie droga morską. Nie ulega wątpliwości, że zdobycie Danii bardzo ułatwiłoby powrót do Polski. Za uderzeniem na Danię przemawiałoby to, iż jest to kraj nizinny, pozbawiony wielkich przeszkód naturalnych i jeszcze obecnie mający słabsze fortyfikacje niemieckie niż np. północna Francja. Przeciwno atakowi przemawia stosunkowo duża odległość od

lotnisk i portów W. Brytanii a także fakt, że Dania kraj rolniczy, nie posiada ani wielkich wytwórni broni ani surowców, niezbędnych dla niemieckiej produkcji wojennej.

Śp. gen. Sikorski już w r. 1941, gdy Niemcy uderzyli na Rosję, myślał o Danii. Niewiadomo jednak, czy ten kraj stanie się terenem walk. W każdym razie przez cieśniny duńskie wracać będzie nasza flota a z nią mogłyby wrócić niektóre oddziały.

Niektórzy sądzą, że byłoby dobrze, gdyby nasze wojska wróciły razem, jako zwarta, wielka całość. Obawiam się, że w tym wypadku nie wróciłyby tak szybko, jak tego Kraj będzie potrzebował. Polska bowiem natychmiast po katastrofie potrzebować będzie pomocy zbrojnej. A jeden batalion w pierwszym tygodniu po odzyskaniu niepodległości może odegrać większą rolę, niż pułk po miesiącu. Weźmy np. historię walk o Lwów, choć wcale nie prganę, byśmy się bili z Ukraińcami o to miasto. Otóż w roku 1918 walki zaczęły się od razu w pierwszym dniu po upadku Austrii. W trzecim lub czwartym dniu walk do złamania oporu przeciwnika może wystarczyć jeden dobry batalion. Po trzech tygodniach walk na odsiecz wystarczyło coś półtora tysiąca ludzi, ale gdyby przybyło trzy tysiące, to zapewne udałoby się wyrzucić przeciwnika poza najdalsze przedmieścia.

Będziemy się starać unikać walk z innymi narodami, chcemy żyć w zgodzie z sąsiadami, ale czasem do unikania konfliktów bardzo pomaga posiadanie odpowiedniej siły. Umowa polsko-czeska co do Śląska Cieszyńskiego została zawarta w 5 dni po katastrofie Austrii. Gdybyśmy tam wtedy i później mieli silne garnizony, prawdopodobnie nie doszłoby do bratobójczych walk o te tereny. Wilno zapewne nie przeżywałoby pierwszej okupacji (od stycznia do kwietnia 1919 r.), gdyby pierwsze oddziały armii gen. Hallera przybyły do Polski nie w kwietniu 1919 r., lecz w grudniu 1918 r.

Każdy dzień będzie miał ogromne znaczenie. To też nasza armia powinna się starać już teraz znaleźć się na takich terenach, skąd najbliżej będzie do Polski. Warto też już teraz przestudiować mapy wszystkich szlaków wiodących do Polski, wyszukać ludzi, znających języki i stosunki w krajach, które będziemy przechodzić, pomyśleć o przygotowaniu odezw do ludności tych krajów i innych środków, byśmy drogę mogli odbywać bez wielkich przeszkód. Trzeba się śpieszyć.

Karol Leskowiec.

Do tej walki wzywały każdego z nas, gdy tylko przekroczył progi gimnazjum, napisy rozmieszczone po korytarzach i klasach: "W ścianach gimnazjum zabronione jest mówić po polsku."

Były wówczas w gimnazjach warszawskich wstępne klasy, do których szli dziewięcioletni chłopcy, którzy nie nauczyli się byli już w domu czytać i pisać po rosyjsku, bez czego nie można się było dostać do pierwszej klasy. Wśród tych dziewięciolatków żaden jednak nie ośmieliłby się przemówić do kolegi po rosyjsku — dostałby bowiem za to porządne od całej klasy szturehańce. Nie nakazywali nam tego rodzice, oddając nas do gimnazjum. Ale tak nas wychowywali, że nie do pomyslenia dla nas było nie walczyć z narzucaną nam w szkole rusyfikacją.

Było wśród naszych nauczycieli jeszcze trochę Polaków. Kuratorium szkolne korzystało z lada okazji, by ich usuwać z ich stanowisk. To też wyjątkowo który przemówił do nas po polsku, nawet na lekcji polskiego, które były nieobowiązkowe i odbywały się o godz. 8-mej, gdy normalne zajęcia szkolne zaczynały się o 9-tej. W moim gimnazjum, piątym warszawskim, było tylko trzech nauczycieli, w których widzieliśmy prawdziwych, rzetelnych Polaków. Jednym z nich był Apel, wybitny lingwista, późniejszy członek Krakowskiej Akademii Nauk. Wiedzieliśmy, że jest solą w oku dyrektora gimnazjum.

Szczególnie jednak zjednywał nasze serca trzynasto i czternastoletnich chłopaków, tłumacząc nam, że nie tylko w składni, ale i w etymologii wyraża się dusza narodu i uzasadniając to twierdzenie przykładami, branymi nie tylko z francuskiego i innych zachodnio-europejskich języków, ale i z polskiego i rosyjskiego — przy czym z tych przykładów zawsze wypływała wyższość cywilizacji polskiej.

Drugim był młody katecheta, usunięty zresztą po dwóch latach, który między innymi pouczał nas, że złamanie przysięgi, wymuszonej przez niesprawiedliwą władzę, nie jest grzechem. Trzecim był nauczyciel matematyki, Poznański. Stałe ostrzegał on tajne nasze kółka przed zamierzeniami dyrekcji, wymierzanymi przeciwko "buntowniczym duchom" w szkole. Wobec reszty nauczycieli zajmowaliśmy zdecydowanie wrogie stanowisko. Dokuczaliśmy im we wszelki sposób z właściwą kilkunastoletnim chłopakom przebiegłością i bezwzględnością. A mało który nauczyciel mógł sobie dawać radę z gromadą czterdziestu podstępnych i zawziętych wrogów. Mieliliśmy ciężkie życie — ale niewesołe było i życie naszych nauczycieli, szczególnie tych Polaków, których uważaliśmy za "moskiewskie duchy." Byli to zazwyczaj ludzie, jak się później przekonałem, w głębi serca kochający Polskę. Ale przeszli oni przez klęskę

UROJENIA "MYŚLI POLSKIEJ"

Na marginesie notatki p.t. "Mądry ludowiec"

W "Myśli Polskiej" Nr. 57. ukazał się szereg artykułów atakujących Rząd Polski. Między tymi artykułami znalazło się również sprawozdanie ze Zjazdu Ziem Południowo-Wschodnich oraz notatka p.t. "Mądry ludowiec."

Notatka ta miała być odpowiedzią na artykuł ogłoszony w "Dzienniku Polskim" p.t. "Dziwny Zjazd." Dano jej też odpowiedni tytuł, ponieważ panowie z "Myśli Polskiej" są przekonani i uparcie twierdzą, że artykuł ten został napisany przez ludowca. Wprawdzie p.T.B. nie wymienił żadnego nazwiska w notatce, twierdzi jednak, że autorem jest ludowiec, który wnosił poprawki do rezolucyj, zgłoszonych na Zjeździe. Uważa więc, że artykuł p.t. "Dziwny Zjazd" został napisany przeze mnie, byłem bowiem na Zjeździe jedynym ludowcem, który wnosił poprawki.

Artykułu tego jednak nie pisałem i nie pisał go żaden ludowiec.

Przy sposobności oświadczam, że zawsze swoje artykuły lub notatki podpisuję pełnym imieniem i nazwiskiem.

Zanim przystąpię do omówienia notatki, zamieszczonej w "Myśli Polskiej" chciałbym poinformować, dlaczego wziąłem udział w Zjeździe Ziem Południowo-Wschodnich.

Pochodzę z Małopolski Wschodniej, żywo interesowałem się wszystkimi zagadnieniami tych ziem podczas mojej pracy polityczno-społecznej na terenie wsi małopolskiej aż do września 1939 r. Brałem również czynny udział w kampanii wrześniowej i w obronie Lwowa, gdzie zostałem ciężko ranny. To też wszystkie kwestie związane z ziemiami wschodnimi interesują mnie żywo i pomimo tego, że nie mam monopolu na patriotyzm i na mądrość, uważałem, iż skromną moją pracę mógłbym zaoferować Związkowi Ziem Południowo-Wschodnich. Miałem wrażenie, że zarówno uczestnicy Zjazdu jak jego organizatorzy postarają się o to, aby uchwały i atmosfera Zjazdu dostosowały się do poważnej sytuacji, w jakiej się obecnie znajdujemy. Sądziłem, że w tego rodzaju Zjeździe na pierwszy plan wysuwają się zagadnienia ogólnopolskie i narodowe, kwestie, dotyczące ściśle Ziem Południowo-Wschodnich, a nie sprawa rozgrywek wewnę-

trzo-politycznych. Byłem przekonany, że w sprawach tak zasadniczych zarówno na Zjeździe, jak i przez cały okres pracy Związku potrafią dogadać się przedstawiciele wszystkich kierunków politycznych, które do września 1939 r. działały na tych ziemiach.

Trzeba przyznać, że niektórzy uczestnicy Zjazdu zdawali sobie sprawę zarówno z powagi chwili, jak i z ważności zagadnienia. To też sądzić należało, że Zjazd zajmie się przede wszystkim istotą zagadnienia, które powinno było dominować w obradach, tym bardziej, że jak to słusznie stwierdzono w "Myśli Polskiej" referaty pp. dr. Józefa Rudnickiego i prof. W. Wielhorskiego — "na wysokim poziomie naukowym i obywatelskim dały Zjazdowi potrzebną podbudowę historyczną i rzeczową."

Jednak w drugiej części Zjazdu t.j. bezpośrednio po wyborze zarządu Związku, już w przemówieniu p. Rojka oraz po zgłoszeniu rezolucji przez p. Sierza i po jego przemówieniu, uzasadniającym potrzebę takiej rezolucji, Zjazd zamienił się na wiec antyrządowy. Rozpoczęto walkę z Rządem Polskim o Kresy Wschodnie, jak gdyby to przed Rządem Polskim trzeba było ich bronić. Ta sama atmosfera, ten sam poziom, te same metody, które niejednokrotnie obserwowałem, na wiecach Młodzieży Wszechpolskiej, ujawniły się w tej drugiej połowie Zjazdu. Nie chodziło tu o Ziemię Wschodnią a raczej chodziło o wytworzenie takiej atmosfery, która by pozwoliła panom z "Myśli Polskiej" i panom z sanacji popisać się nieodpowiedzialnymi wybrykami.

Dlatego to zabrałem głos, wnosząc odpowiednie poprawki do rezolucji p. Rojka i prosiłem o poddanie ich pod głosowanie. Nie pozwolono mi jednak dłużej przemawiać dla uzasadnienia moich poprawek. Zrozumiałem, że na tym Zjeździe podobnie, jak na wiecu Młodzieży Wszechpolskiej należy tak myśleć i tak mówić, jak tego wymaga "góra." Był to więc wiec dwóch grup politycznych w najgorszym wydaniu. Nie solidaryzowałem się ze zgłoszonymi rezolucjami pp. Rojka i Sierza oraz ze stanowiskiem większości Prezydium Zjazdu, zatem zgłosiłem swoją rezygnację z Zarządu i wystąpiłem ze Związku.

upadku powstania i bali się nowego wybuchu młodzieńczej porywczowości, która by jeszcze bardziej wzmogła ucisk moskiewski. Trwać przy narodowych tradycjach, zdobywać jak najwięcej pozytywnej wiedzy — ale niczym nie drażnić Moskali — to było ich wyznacznik. Myślimy jednak z tego ich programu dostrzegali w szkole tylko to ostatnie wskazanie: nie drażnić wroga i gardziliśmy nimi, nie bardzo się z tem kryjąc.

Szkola miała na nas tylko ten wpływ wychowawczy, że zaprawiała nas od dziecka do uporczywej walki z przemocą. Walczyliśmy przeciwko niezwykle surowemu klasyfikowaniu nas, o promocje z klasy do klasy. Wyjątkowo, który z nas interesował się szkolną nauką z zamiłowaniem do niej. Bo też ta wiedza, którą otrzymywaliśmy w gimnazjum, była niezwykle mało interesująca: gramatyka, stylistyka i literatura rosyjska, przykrojona specjalnie dla gloryfikacji carów historia, tłumaczenia z łaciny i greckiego na rosyjski i z rosyjskiego na łacinę i grekę, suche formuły geometryczne, algebraiczne i trygonometryczne, a z nauk przyrodniczych tylko elementarna fizyka. Więc kuliśmy, podpowiadaliśmy sobie nawzajem, odpisywaliśmy od kolegów — byle tylko dotrzeć do matury. Przyznaję się: otrzymałem maturę tylko dzięki memu przyjacielowi Romualdowi Mielczarskiemu, jednemu z głównych następców twórców

ruchu współdzielczego w Królestwie, który pomimo ostrego nadzoru potrafił poprawić mi bruliony rosyjskiego, łacińskiego i greckiego wypracowania (byłem dobrym matematykiem, ale kiepskim filologiem).

Za to szukaliśmy usilnie prawdziwej wiedzy poza szkołą.

Walczyliśmy też uporczywie przeciwko rusyfikacyjnemu wpływowi literatury rosyjskiej. Byli wśród nauczycieli Rosjan rzekomi liberali. Ci byli najniebezpieczniejsi. Dawali oni niby to pokryjomu najzdolniejszym uczniom książki niezupełnie prawomysłne, których w bibliotekach szkolnych nie było: Szczedryna, Dobroliubowa, Dostojewskiego, Tolstoja. Nie było w nich carosławia; wręcz przeciwnie, była w nich ostra krytyka urzędowego świata rosyjskiego. Nie budziły więc one odruchowego w nas odporu. Ale nadmierne rozczynywanie się w nich groziło rzeczą najgorszą rusyfikacją naszego sposobu myślenia.

Walczyliśmy wreszcie w obronie naszej osobistej godności i naszego zdrowia moralnego przeciwko demoralizującemu wpływowi naszych rosyjskich "pedagogów." Ich metody działania najlepiej może zilustruje fakt następujący: W trakcie egzaminów maturalnych zostali aresztowani dwaj nasi koledzy, wspomniany Romuald Mielczarski i Bolesław Miklaszewski, późniejszy założyciel i kierownik Wyższej Szkoły Handlowej w

Pan T.B. poucza mnie, że "w zgromadzeniach prowadzonych na zasadach demokratycznych, każdy ma prawo zgłaszać rezolucji dotyczące materji, którymi dane ciało się zajmuje" (zmiana rządu). Pan T.B. nie był nigdy demokratą i jak widziałem na Zjeździe, nie bardzo przejmował się zasadami demokratycznymi. Trudno wymagać od niego, aby w poważnym już wieku zmieniał swoje przekonania. Ale jeżeli już ktoś chce być nauczycielem i orędownikiem demokracji, musi mieć zupełnie inną przeszłość, aniżeli ma ją p. T.B. i jego adherenci z "Myśli Polskiej."

Panowie z "Myśli Polskiej" chcą pouczać ludowców o zasadach demokracji. To naprawdę śmieszne. Kto?! Panowie?! Wprawdzie usiłują oni od dłuższego czasu wmówić w uchodźstwo polskie, że tylko oni są patriotami, że tylko oni są mądrzy, że oni mają monopol na demokrację. Zdaje im się również, że gdyby potrafili stworzyć rząd z "tęgich mózgów", to w kilka dni po utworzeniu takiego rządu wschodnie nasze granice sięgałyby aż po Ural.

To są zwyczajne chwytły, to są urojenia, to jest zakłamanie, to są właśnie te "kanty polityczne."

Zwolennicy rządu "tęgich mózgów" nieomal bezpośrednio po katastrofie wrześniowej starali się i starają się nadal wszelkimi siłami przekonać uchodźstwo polskie, ba nie tylko uchodźstwo, że dotychczasowy rząd nie wykazał najmniejszej inicjatywy, że brak mu jakiegokolwiek pozytywnych wyników na terenie zagranicznym, że trwając przy "fikejach" osiąga jaknajgorsze rezultaty. Na każdym kroku, gdzie się tylko da, rzucają oskarżenia, wysysane z palca pod adresem rządu. Angażują coraz to nowe "siły" — robią wszelkiego rodzaju kompromisy, tworzą mowę "swoje" organizacje, byleby ich mieć jak najwięcej, a tym samym jak najwięcej uchwałać rezolucji antyrządowych. To też stanowczo można stwierdzić, że część inicjatorów Zjazdu Ziem Południowo-Wschodnich miała na uwadze nie tylko kwestię tych ziem, ale chciała jeszcze raz publicznie przeprowadzić atak przeciwko rządowi. Zapewne spodziewała się, że w dwa czy trzy dni po tym Zjeździe powstanie nowy rząd z pp. Bieleckim i Matuszewskim na czele.

Do akcji tej starano się wciągnąć nie tylko koła oenerowsko-sanacyjne, ale poczynaniom swoim i dalszym zamierzeniom chciało nadać szerszy wachlarz. Dlatego to do Komitetu organiza-

cyjnego powołano jednego z ludowców i postarano się o to, ażeby w Komitecie byli w miarę możliwości reprezentowani przedstawiciele wszystkich kierunków politycznych. Prace Komitetu organizacyjnego trwały dosyć długo dlatego, ponieważ już szereg miesięcy temu zauważywszy, że tendencją inicjatorów będzie stworzenie jeszcze jednej organizacji, któraby w pracy swojej organiczyła się tylko do ataków na rząd, pewna ilość członków wystąpiła z Komitetu. Usunęli się od tej pracy śp. Prof. Dubanowicz, prof. Grabski, p. Szczyrek, prof. Koskowski i inni.

Ostatnio na samym Zjeździe zorientowali się i inni, do czego zmierzają inicjatorzy i organizatorzy Zjazdu. Nie wygląda więc sprawa tak jak to przedstawiono w sprawozdaniu ze Zjazdu w "Myśli Polskiej." Zjazd odbył się nie w obronie Kresów Wschodnich, ale w obronie "upadłych" interesów panów z firmy "Myśl Polska" i Spółka. Wielu z tej firmy nie oczyściło się ze swych błędów, a niewątpliwie po powrocie do kraju będą musieli stanąć oko w oko z narodem i zdać sprawozdanie nie tylko ze swojej działalności od września 1939 r., ale także ze swych wybryków na emigracji.

Autor notatki p.t. "Mądry ludowiec" twierdzi, że Zjazd nie był mobilizacją sanatorów, ani oenerowców. Faktem jest, że na Zjeździe rej wodzili dawni dygnitarze sanacyjni, "działacze oenerowi," oraz przedstawiciele grupy p. Bieleckiego. Grupa p. Bieleckiego była w znikomej mniejszości, siły jej można było obliczyć dokładnie zwłaszcza przy wniosku ktp. Wigrydaka. Wnioskowi temu przeciwstawił się p. Rojek, uzasadniając swoje stanowisko. P. Rojek oświadczył, że będzie głosował przeciw wnioskowi i zwrócił się do sali, ażeby stanowisko jego poparła.

Po poddaniu wniosku p. kpt. Wigrydaka pod głosowanie przy obliczeniu głosów stwierdzono, że ze stanowiskiem p. Rojka solidaryzuje się tylko 29 uczestników Zjazdu. Gdzież więc są te siły grupy p. Bieleckiego? Gdzie jest ta "wola narodu"? Owszem "wola" czyjaś jest, tylko nie ma za sobą narodu.

Pan T.B. informuje czytelników "Myśli Polskiej", że "mądry ludowiec" dlatego napisał artykuł w "Dzienniku Polskim," ponieważ "za jego stanowiskiem na Zjeździe wyrażonym opowiedziało się 13 uczestników Zjazdu, ogromna zaś większość była przeciwna." Poucza mnie również bezpośrednio po tym,

Warszawie oraz minister oświaty w roku 1924. Podczas rewizji u nich znaleziono szereg mych książek i kajetów — nie jednak kompromitującego mnie w nich nie było. Zaniepokoiło to jednak silnie dyrektora naszego gimnazjum. Wezwał on mnie do siebie i badał, czy nie miałem styczności z rewolucyjnymi organizacjami. Zaprzeczenia moje nie bardzo mu trafiały do przekonania, więc zakończył swą admonicję przestrogą: "Jesteśmy ojcowską władzą: patrzymy przez palce, gdy uczniowie z 7-mej i 8-mej klasy chodzą do szynków i domów publicznych, choć to jest zakazane, ale rozumiemy — młodzi ludzie muszą się wyżyć. Pamiętajcie jednak — przestępstw przeciwko porządkowi państwowemu tolerować nie będziemy, surowo je karzemy."

W niższych klasach walczyliśmy odruchowo. Była to raczej powszechna przekora gromady dzieciaków, niecierpiących swej zwierzchności szkolnej. Poczynając jednak od klasy siódmej prowadziliśmy walkę planową. Organizowały ją tajne kółka samokształcenia. Jedno z nich, mianowicie kieleckie, opisał Żeromski w "Syzyfowych pracach."

Nie wiem, kiedy i z czyjej inicjatywy powstały one, ale w 1887 r. istniały już we wszystkich gimnazjach Królestwa. Co roku odbywał się zjazd ich delegatów po dwóch z każdego

gimnazjum i wybierał centralę, złożoną z kilkunastu starszych chłopców. Weszłem do niej w 1889 r. Ścierały się w niej wówczas prądy ideowe, będące w znacznym stopniu odbiciem istniejących wówczas w starszym pokoleniu kierunków myśli społeczno-politycznej, ale na własny nasz sposób przez nas komentowane i przerabiane.

Wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy, dziś jednak jest mi to jasne: byliśmy bardziej dziećmi naszych matek, niż ojców. Ojcowie nasi — a co najmniej w 90% pochodziliśmy z rodzin inteligentnych, które tak, czy inaczej brały udział w powstaniu — powstanie to przegrali, więc nie lubili o nim mówić. Niewielu wprawdzie było takich, co zwątpili całkowicie w odzyskanie niepodległości wobec rosnącej nieustannie potęgi Rosji i Prus, które po 1871 r. stanęły na czele cesarstwa niemieckiego — wszyscy jednak z generacji czynnej w 1863 r. uważali za niezbędne wyrzec się stanowczo myśli o nowej walce zbrojnej. Najwybitniejsi nasi pisarze i publicyści ośmdziesiątych lat głosili program "pracy organicznej." Propagowali go zarówno konserwatyści, jak postępowcy. Jedni, jak drudzy nawoływali do pracy dla podniesienia powszechnego dobrobytu i poziomu cywilizacyjnego społeczeństwa polskiego. Gdy jednak konserwatyści kładli główny nacisk na wzrost siły gospodarczej wsi,

że "demokracja wtedy jest dobra, jeżeli garstka ludowców będzie wykonywać prerogatywy większości."

Pan T.B. słusznie stwierdza, że ogromna większość Zjazdu była przeciwko mojemu stanowisku, ale wykazałem, że również olbrzymia większość była przeciw stanowisku, zajętemu przez p. Rojka. Zatem na Zjeździe przeważał przede wszystkim element sanacyjny oraz taki, który nie chciał się solidaryzować z grupą p. Bieleckiego. To też ludowcy napewno nie byli rozczarowani zachowaniem się sali, natomiast wszyscy panowie, którzy popierali stanowisko p. Rojka, musieli się poważnie zastanowić, w jaki sposób należy postępować i jaką taktykę obrać ażeby przeprowadzić inne swoje "uchwały" na Zjeździe. Poszli więc na ustępstwa dla sanacji.

Nie były to zresztą pierwsze ustępstwa. Nie był to pierwszy ukłon w stronę sanacji, małżeństwo zostało zawarte już dawno. Ciekaw jestem, jak z tego małżeństwa i z dotychczasowej współpracy wytłumaczają się ci panowie przed stronnictwem Narodowym, które zostało w Kraju i które codziennie daje dowód, że w tak poważnej sytuacji umie i dogadać się nawet z byłymi przeciwnikami politycznymi (byłe nie z "elementami obciążonymi odpowiedzialnością za praktyki reżimu sanacyjnego"), i ściśle oraz zgodnie z nimi współpracować, żeby nie doznał uszczerbku interes narodu i państwa, żeby Polskę wywalczyć. Bo Stronnictwo Narodowe w Kraju uważa, że jego obowiązkiem tak samo, jak obowiązkiem innych stronnictw i całego narodu jest walka w tej chwili z wrogami, którzy granice państwa polskiego chcą uszczuplić i którzy starają się z dnia na dzień niszczyć biologicznie naród polski.

Kraj daleki jest od wewnętrznych nieporozumień, wewnętrznych tarć i personalnych ambicji. Kraj wie o tym, że sytuacja obecna zadecyduje o jego przyszłości.

A na emigracji?

Od czterech lat inne jest stanowisko grupy p. Bieleckiego i grupki sanacyjnych. Panom z "Myśli Polskiej" zdaje się, że ich koteria stanowi naród i że ona tylko ma prawo wypowiadać się w imieniu narodu. Przy stanowisku tym trwają, nie ustępują ani na jeden milimetr, innych uczą patriotyzmu, chłopów wysyłają na "gminne pastwiska." A więc robią to samo, piszą i mówią dziś tak samo, jak mówiła i pisała sanacja w okresie trzynastoletnich swoich rządów.

w szczególności większej własności ziemskiej i na pielegnowanie narodowych tradycji — postępowcy nawoływali do pracy w handlu i przemyśle oraz do modernizacji pojęć wedle wzorów zachodnio-europejskich. Głównymi rzecznikami postępu były wówczas tygodniki: "Prawda," redagowana przez świetnego publicystę o silnym polemicznym zacięciu, Aleksandra Świętochowskiego i mniej błyskotliwie prowadzony, ale wydawniczo ruchliwszy, "Przegląd Tygodniowy." Oba one były chętnie czytane przez młodzież warszawską. Natomiast dzienniki konserwatywne: "Gazeta Polska" i "Słowo" była abonowane głównie przez dwory wiejskie.

Z pośród jednak propagatorów "pracy organicznej" najsilniejszy wpływ na nas młodych wywierał swemi powieściami i felietonami Bolesław Prus — postępowiec z zarazem obrońca wszystkich dobrych tradycji, pozytywista, a jednocześnie romantyk. Trafiła nam do przekonania apologia polskiego kupca Wokulskiego w "Lalce." I w tejże "Lalce" radował nasze serca pamiętnik starego marzyciela Rzeckiego z fascynującymi opisami powstania węgierskiego 1848 r. i z ciągłym wycekiwaniem wydarzeń europejskich, które wznowią znów naszą sprawę.

Ale i Prus nie zadowalał nas całkowicie. Bośmy chcieli

Nas chłopów tyle jest, że odpowiednio podzielimy między siebie role. Jeden będzie prowadził walkę o to, "z którego końca najlepiej spasać gminne pastwisko," inni podejmą walkę z każdym, kto uważa, że nieodpowiedzialne warcholstwo to patriotyzm i mądrość, że interes grupy jest interesem narodu, że państwo to folwark, że naród to pastuchy, a w końcu, że wieś polska, że chłop polski nie dorósł do tego, ażeby brać udział w rządzeniu państwem.

Słusznie p. T.B. stwierdza, ale chyba pod swoim adresem, że "jeżeli zaś większość jest przeciw, wtedy staje widmo dawnej szlachetczyzny, wtedy szlachetka dwudziestego wieku, kość z kości i krew z krwi tamtych warcholów, usiłuje założyć liberum veto — przeciwstawić się woli narodu, wyrażonej w deklaracji czterech stronnictw.

Bardzo szczerze wypowiedział się p. T.B. w swoim artykule o tym pastwisku gminnym i o tym liberum veto.

Weźmy następnie ustęp przy rezolucji potępiającej Wandę Wasilewską. Nie stawiałem nigdy w tym ustępie rezolucji poprawki o zaufanie dla rządu. Natomiast sprawa ta przedstawia się następująco: rezolucja p. Rojka stwierdzała, "że tak zwany Związek Patriotów Polskich w Moskwie nie reprezentuje żadnego polskiego kierunku ideowego, ani żadnej organizacji polskiej i że nie ma on prawa powoływać się na społeczeństwo polskie, ani wyrażać jego opinii." Po słowach tych zaproponowałem poprawkę treści następującej: "natomiast do reprezentowania narodu polskiego jego dążeń, celów i walki uprawniony jest legalny Rząd Rzeczypospolitej w Londynie." Pan T.B. pomimo tego, że był na Zjeździe, celowo przeinaczył treść mojej poprawki.

Pan T.B. poucza mnie ciągle o demokracji. I tak zaznacza on m.in. "otóż niech ludowiec przyjmie do wiadomości, że w zgromadzeniach, prowadzonych na zasadach demokratycznych, każdy ma prawo zgłosić rezolucję dotyczącą materii, którymi dane ciało się zajmuje. Każdy ma prawo zgłosić, a przewodnictwo musi poddać pod głosowanie." Przypomnę, że na Zjeździe zgłoszone zostały rezolucje przez Komitet organizacyjny Zjazdu, przez pp. Rojka i Sierżę oraz inż. Romera. Wszystkie rezolucje za wyjątkiem rezolucji p. Romera zostały poddane pod głosowanie. Nie wiem, dlaczego przewodniczący Zjazdu nie poddał rezolucji p. Romera pod głosowanie, ale zdaje mi się, że jedynie

czegoś więcej, niż romantycznych marzeń w chwilach wolnych od pozytywnej pracy. Prus i jego rówieśnicy przeżyli w swej młodości wielki poryw narodowego romantyzmu. Mogli więc go wspominać. Myśmy go nie przeżyli. Ale byliśmy wychowani w kuliście jego przez nasze matki i drągnęliśmy go całą duszą.

Życie szkolne stawiało nas w ciągłą styczność z państwowymi władzami rosyjskimi. I ojcowie nasi w swej pracy zawodowej mieli ciągle coś do czynienia z "Moskalami". Ale progu polskiego domu rodzinnego Moskał nie mógł przekroczyć. Żle było widziane nawet, jeśli tak zwany "ochotnik," odslugujący służbę wojskową, przychodził z wizytą do znajomych domów w moskiewskim wojskowym mundurze. Twierdzami polskości, o które rozbijały się wszystkie zapędy rusyfikacyjne generał-gubernatora Hurki i kuratora Apuchтина, były domy rodzinne. A komendantami tych twierdz były nasze matki. W głębi swych komód przechowywały one pamiątki po krewnych, czy ukochanych, co zginęli w powstaniu lub zostali zesłani na Sybir: fotografie, klamry od pasów z Orłem, Pogonią i św. Michałem, rogatywki, krzyżyki z drzewa, ściętego w Olszynie Grochowskiej, medaliony z odrobiną cegły z grobu pięciu poległych, a niekiedy parę pistoletów. Wieleż wzruszających opowiadań towarzyszyło pokazywaniu tych narodowych relikwijek dzieciom, I była też w

dlatego, iż p. Romer nie ma nic wspólnego z grupą sanacyjną, ani z grupą p. Bieleckiego, bo nie należy on wogóle do żadnego stronnictwa. Gdzież więc jest ta demokracja, o której tak wylewnie mówi autor notatki?

“Myśl Polska” uważa, że dobrze jest opierać pewne fakty na urojeniach, dobrze jest je przeinaczać, naciągać i sztukować, tak jak to jest wygodnie. “Myśl Polska” ma już wprawę, ma bowiem za sobą długi okres walki, którą prowadzi z rządem. Panowie z “Myśli Polskiej” wiedzą o tym, że ostatnim Zjazdem nie przyczynili się wcale do wzmocnienia polskiego stanowiska w sprawie Ziemi Południowo-Wschodnich, odwiecznie związanych z Rzeczypospolitą. Walki z rządem, o kresy południowo-wschodnie prowadzić nie trzeba, ponieważ rząd zajmuje zdecydowane stanowisko w tej sprawie. Wiedzą oni dobrze wraz z p. Bieleckim i p. Matuszewskim, że żaden rząd, a tymbardziej rząd w którym zasiadają przedstawiciele czterech stronnictw, nie zgodzi się na to, ażeby jakkolwiek część kresów wschodnich, oddać Związkowi Sowieckiemu.

W tej sprawie znają oni stanowisko rządu polskiego, ale tak samo, jak na urojeniach budują swoją “politykę,” tak samo na podstawie urojeń, wymysłów i podszeptów starają się przekonać uchodźstwo polskie, że rząd polski jest gotów na kompromisy w sprawie granic.

Prawa nasze do tych ziem są święte, nie po to stanęliśmy

pierwsi do wojny z Niemcami 1939 r. by z nich zrezygnować. Nikt z nas Małopolan na chwilę nawet nie myśli o rezygnacji z praw naszych do tych ziem. Małopolanie wspólnie z całym narodem walczyli w 1939 r. o te ziemie.

Autor notatki mówi również o tym, że “wogóle jeżeli idzie o stosunek do rządu, to dzisiejsi ludowcy przypominają do złudzenia wczorajszych sanatorów.” Wolno myśleć tak panu T.B., ale wolno mi też twierdzić, że jeżeli chodzi o grupę p. Bieleckiego, to ona wcale nie przypomina mi nawet “do złudzenia” wczorajszych sanatorów, ona poszła zupełnie drogami sanacyjnymi, idzie w ogonie sanacji.

Również autor notatki twierdzi, że “rzekomi politycy i społecznicy w kwestiach rządu przypominają najgorszego typu wojewodów i policjantów.” Ludowcy tylko przypominają ich zdaniem p. T.B., natomiast panowie z “Myśli Polskiej” jak najściślej współpracują z najgorszego typu dawnymi starostami, policjantami i innymi podobnymi dygnitarzami reżimu pomajowego. Jest więc pewna różnica. Jest różnica duża i zasadnicza nawet gdybyśmy przyjęli, że p.T.B. ma rację.

Na zakończenie chciałbym zaznaczyć, że jeżeli zajdzie potrzeba, to my również “prześwietlimy sobie w czasie najbliższym formację” z pod znaku “Myśli Polskiej.”

Próżno nas panowie straszycie swoim prześwietleniem.

Bronisław Załęski.

GMINA ZBIOROWA CZY POJEDYŃCZA?

Niema ważniejszego zadania w państwie nad wychowanie pełnowartościowego człowieka i obywatela. W wychowaniu politycznym obywatela największą rolę powinien odgrywać samorząd, będący w istocie lokalnym rządem obywateli, powołanym do załatwiania wszystkich spraw, wynikających ze współżycia mieszkańców danej wsi, miasta, powiatu czy województwa.

Gdyby nie było ustawy samorządowej, która narzuciła w naszym ustroju jednakowe formy organizacyjne dla wszystkich gmin i powiatów, to każda wieś czy miasto byłoby zmuszone we własnym żywotnym interesie powołać jakąś władzę lokalną dla zarządzania miejscowymi sprawami, dotyczącymi mieszkańców danego osiedla jak: budowa i utrzymanie dróg, szkoły, świetlicy, straży ogniowej, zakładu opieki społecznej i. t. d.

Pierwszym i bodaj jedynym naturalnym związkiem samorządowym jest gmina pojedyncza, czyli obejmująca mieszkańców jednego tylko osiedla, wsi czy miasta, bowiem ludzie zamieszkujący w danym osiedlu są przede wszystkim zainteresowani we wspólnym zarządzie jego sprawami, a już daleko mniej interesuje ich zarząd oddalonej o kilka czy kilkanaście km. wsi czy miasta.

W większości Europy jak we Francji, Niemczech, Belgii i Holandii ustawodawcy oparli ustrój samorządu gminnego na poszczególnych osiedlach i ustrój ten został utrzymany do dziś dnia w tych krajach mimo, że nowoczesne środki komunikacyjne, zbliżyły wszystkie osiedla do siebie. W ten sposób we Francji istnieje tyle gmin, ile jest wsi i miast, to jest około 38.000.

każdym niemal domu inteligentnej rodziny pod zarządem matki biblioteczka “zakazanych książek,” wydanych w Krakowie, czy Lipsku, czy jeszcze wcześniej w Paryżu. A te książki uczyły nas kultu powstań i konspiracji patriotycznych. To też próbowaliśmy spiskować już w bardzo młodym wieku. Z pierwszą tajną organizacją spotkałem się w trzeciej klasie gimnazjalnej. Była to naiwna, dziecinna konspiracja i nie trwała długo.

Ale była ogromnie romantyczna. Za przykładem Beniowskiego i Rogozińskiego wybieraliśmy się do centralnej Afryki nie zbadanej jeszcze wówczas i nie opanowanej przez białych, by tam zdobyć panowanie nad szczepami murzyńskimi i stworzyć z nich armię — która wyzwoli Polskę.

Nie dziecinną jednak, znacznie nawet ponad miarę naszego wieku poważną była praca we wspomnianych poprzednio tajnych kołach samokształcenia.

Nie pamiętam dokładnie daty pojawienia się broszury Jeża (Miłkowskiego) “O obronie czynnej,” ale pamiętam, że dał mi ją do przeczytania któryś z kolegów na krótki czas przed egzaminami z 6-ej do 7-ej klasy (1888). Wśród młodzieży kółkowej zadała ona śmiertelny cios ideologii “organiczników.” Gdy wszedł do “centralizacji” — bezspornym dla nas wszy-

stkich aksjomatem było, że trzeba się szykować do nowego kiedyś orężnego starcia z potęgą moskiewską. O innych zaborach, przyznaję, wówczas nie myśleliśmy. Nie dlatego, byśmy wyrzekali się ich. Bynajmniej — przeżywalismy bardzo głęboko cios, jaki zadał Bismarck polskiemu społeczeństwu w Wielkopolsce i na Pomorzu, przeprowadzając w sejmie pruskim ustawę o Komisji Kolonizacyjnej — ale zbyt słaba była w Królestwie tradycja wielkopolskiego powstania 1848 r., a zbyt żywe były wspomnienia powstań 1831 i 1863 r., by nasze nastroje rewolucyjne nie koncentrowały się w myśli o walce z Rosją.

To nie przypadek, że ów przybyły z Warszawy do Kłerykowa (Kiele) kółkowiec z “Syzyfowych prac” zaczyna swój propagandowy debiut od deklamacji “Reduty Ordona.” Przypuszczam, że Żeromski nie stworzył tego obrazu swą tylko fantazją — ale nadał artystyczną formę realnemu wspomnieniu.

Po “organicznikach” jednak pozostało w uczniowskich kółkach samokształcenia przeświadczenie, że najpierwszym, najpodstawowym ich zadaniem jest przeciwdziałanie rosyjskiemu wpływowi szkoły, przez przeciwstawianie tendencyjnej, fałszywej gimnazjalnej nauce historii oraz apologii literatury rosyjskiej i ogłupiającemu kuciu wszelkich formuł i wyjątków — prawdziwej znajomości dziejów Polski i literatury polskiej, a

Natomiast w Polsce istniało przed wojną tylko 3195 gmin, gdyż ustawa z 1933 r. o ustroju samorządu stworzyła sztuczne i nieżyłowe związki samorządowe w postaci gmin zbiorowych, obejmujących po kilka wsi, zadając w ten sposób gwałt naturalnemu związkowi samorządowemu, jakim jest samorząd każdej pojedynczej gminy czy miasta.

Ustawa samorządowa wprowadziła gminy zbiorowe, które nie odpowiadały ani życzeniom mieszkańców wsi, ani nie ułatwiły życia obywatelom. Przeciwnie, utrudniły je na każdym kroku, oddalając siedzibę gminy od większości jej mieszkańców.

Twórca tej ustawy prawdopodobnie kierował się błędnym założeniem, a mianowicie zamiast patrzeć na samorząd jako najlepszą i niezastąpioną szkołę wychowania politycznego obywateli, zasklepił się w jednym daleko mniej ważnym celu: usprawnieniu i potanieniu administracji i gospodarki samorządowej przez łączenie kilku administracji gmin pojedynczych w jedną administrację gminy zbiorowej.

Podejście projektodawcy ustawy samorządowej z 1933 r. do reformy samorządu było biurokratyczne a nie społeczno-polityczne wskutek tego ustawa ta była błędem, który przyniósł poważne szkody dla społeczeństwa, które zostało tak zniechęcone do samorządu, że coraz mniej interesowało się jego życiem, czego dowodem był między innymi spadek liczby głosujących w wyborach do organów samorządowych poszczególnych wsi. Dzięki stworzeniu gminy zbiorowej i rozszerzeniu nadzoru państwa nad samorządem gminnym, dzięki ciągłej kurateli starostów nad działalnością zarządów gminnych, sparaliżowana została zdrowa inicjatywa społeczna organów samorządowych. Nałożone zostały takie karby i hamulce na wszystkie ważniejsze przejawy działalności gminy i powiatu, że samorząd w tej atmosferze nie mógł oddychać i upadał coraz bardziej zwłaszcza, że rząd, nakładając coraz nowe zadania na samorząd gminny, nie zatroszczył się o to, by dać samorządowi odpowiednie środki do życia.

Wskutek całkowitego skrepowania samorządu przez władzę państwową samorząd gminny został przekształcony z instytucji społeczno-politycznej w urząd administracyjny, nad którym sprawował faktycznie nieograniczoną władzę pan starosta.

Twórca ustawy z 1933 r. nie osiągnął nawet swego zasadniczego celu, jakim było niewątpliwie usprawnienie gospodarki i administracji oraz potanienie jej kosztów, bowiem gminy zbiorowe

zmuszone były zwiększać płatny personel urzędniczy do wykonywania funkcji i czynności, które w gminach pojedynczych były daleko taniej lub bezpłatnie wykonywane przez członków zarządów gminnych.

Co się zaś tyczy usprawnienia administracji samorządowej to najlepiej mogłyby o tym powiedzieć miliony mieszkańców wsi, zmuszeni byli wielokrotnie w ciągu roku udawać się po kilka lub kilkanaście kilometrów do urzędu gminnego.

Przyjmijmy tylko, że $\frac{1}{25}$ mieszkańców wsi (było ich około 25 milionów) czyli 1 milion ludzi zmuszonych było 2 razy na miesiąc załatwić jakąś sprawę w gminie, oddalonej — powiedzmy — o 10 km. Jeśliby każdy z nich wziął ze sobą konia i wóz, to straciłby na samą jazdę tam i z powrotem około 3 g. czasu, co daje w przeliczeniu na milion osób rocznie:

1 milion $\times$ 3 godz. $\times$ 24 = 72 miliony godzin rocznie zmarnowanych tylko na samą jazdę. Gdyby policzyć 1 zł. za godzinę pracy człowieka i tyleż za wozo-godzinę, to znaczyłoby, że traciło się co roku 72 miliony zł + 72 miliony zł. = 144 miliony zł. Gdyby przyjąć, że wybudowanie jednej izby na wsi kosztowało około 2,000 zł. to za 144 mil. zł. można było wybudować co roku 72 tys. izb.

Siedziba gminy musi być na miejscu w danej wsi, gdy tego sobie życzy większość mieszkańców wsi.

Zaznaczyliśmy wyżej, że samorząd gminny wskutek reformy ustrojowej przeprowadzonej w 1933 r. stał się instytucją biurokratyczną, czyli rodzajem urzędu podobnego do urzędów państwowych. Obywatel przychodził do urzędu gminnego nie jako współzawodnik, ale zazwyczaj jako pokorny petent, który dopraszał się u p. sekretarza gminnego łaski załatwienia sprawy.

Jednym z najsmutniejszych skutków reformy ustroju samorządu gminnego z 1933 r. było, że stawszy się instytucją biurokratyczną przestał on być szkołą politycznego wychowywania obywateli. Bowiem do spełniania tego najważniejszego zadania samorządu trzeba było jednej najistotniejszej rzeczy: swobody działania gminy czyli swobody samoistnego zarządzania przez obywateli sprawami miejscowymi, a wobec tego, że organa samorządu gminnego zmuszone były wykonywać to, co nakazywał p. starosta, nie było mowy o swobodzie działania organów gminy, a zatem nie było samorządu.

Jeśli więc chcemy stworzyć zdrowe podstawy pod rozwój

także budzenia zainteresowań całą współczesną zachodnio-europejską cywilizacją. Parę razy do roku w dniach rocznie patriotycznych robiło się obchody, skupiające po kilkadziesiąt uczniów i pańienek w zamożniejszych domach prywatnych pod formą rzekomych zabaw, tak zwanych "wieczorków," powszechnie wówczas urządzanych w Warszawie dla dorastającej, ale nie dorosłej jeszcze młodzieży. Nie było to bez ryzyka i dla gospodarzy domu, z reguły rodziców któregoś z kolegów. Bo stróże domów byli obowiązani donosić policji o każdym podejrzanym zebraniu. Zawsze się jednak znalazło dość "starych," co się przed tym ryzykiem nie cofali. Na tych obchodach deklamowano, śpiewano, wygłaszano krótkie uczuciowe przemówienia w jednym pokoju, gdy w drugim dla niepoznaki parę par tańczyło. Na normalnych jednak zebraniach kół dyskutowaliśmy o czytanych książkach. A czytaliśmy naprawdę dużo i to nie tylko powieści i poezje, ale także i ściśle naukowe dzieła, jak ekonomię Stuarta Milla lub Iwaniukowa, socjologię i wstęp do filozofii Spencera, historię materialistycznej filozofii Langego, psychologię Irwina, dzieje cywilizacji Drapera czy Bockla, krytykę socjalizmu Scheflego, "Kapitał" Marksa, nie mówiąc o podręcznikach historii i literatury polskiej.

Naprawdę w kółkach panował głód wiedzy. Dość powiedzieć,

żeśmy organizowali dla kompletów zebranych z kilku gimnazjów prywatne, tajne lekcje "biologii" i "historii filozofii." Na tych ostatnich wykladał poważny filozof Massonius. I kierownice wśród kółkowej młodzieży stanowiska dawała nie łatwa wymowa, ani licytacja bojowymi frazesami — jeno szersza i gruntowniejsza od innych wiedza. Ten przewodził kołu, kto górował w dyskusjach, że tak powiem seminaryjnych, jakie się w nich toczyły.

Przytem podkreślam fakt, który miał poważne w następstwie konsekwencje. W kółkach była praca naprawdę "samokształceniowa." Chętnie zasięgaliśmy rad starszych. Ale nie dopuszczaliśmy ich, nawet studentów uniwersytetu, na nasze dyskusyjne zebrania. Uczyliśmy się myśleć samodzielnie.

Dzięki temu właśnie moje pokolenie młodzieży stworzyło podstawy dziś jeszcze istniejących naczelných kierunków naszej myśli politycznej. O tym jednak później — gdy będę opowiadać o moich środowiskach uniwersyteckich. Na razie wracam do centralizacji kółek gimnazjalnych. W roku szkolnym 1889 na 1890 zaczęły przenikać do niej i wpływy socjalistyczne. Byłem najgorętszym bodaj ich rzecznikiem. Ale byłem zarazem zdecydowanym przeciwnikiem broszurkowej frazeologii. Budziła ona we mnie odrazę. Postawiłem wniosek, by zamiast jałowych sporów na temat socjalizmu czy czystego patriotyzmu, wziąć się

samorządu terytorialnego, jeśli on ma istotnie być szkołą wychowania obywateli, jeśli chcemy, by społeczeństwo rządziło się samo w sprawach lokalnych, musimy przywrócić samorządowi następujące prawa: prawo samostanowienia w sprawach lokalnych i praw samostanowienia gospodarowania groszem publicznym.

W tym celu należałoby odciążyć samorząd gminny od nadmiernego nadzoru państwa i zostawić gminom prawo samostanowienia uchwalania podatków i budżetów.

Pozatym należy zostawić mieszkańcom gminy zupełną swobodę wyboru swego wójta i innych członków zarządu gminnego, a władze państwowe nie powinny wywierać żadnej presji na wybór organów gminnych, ani wpływu na zatwierdzanie wyboru zarządu i rad gminnych.

Oprócz tego należy powierzyć nadzór nad samorządem gminnym powiatowym związkom samorządowym, aby uniezależnić samorząd od nadmiernego wpływu państwa.

Jednym z punktów przyszłej reformy ustroju samorządu gminnego winno być pozostawienie do uznania powiatowym związkom samorządowym, czy na terenie danego powiatu mają być gminy zbiorowe czy pojedyncze. Niech społeczeństwo przez swoich reprezentantów w tych związkach samorządowych samo zadecyduje, czy na terenie danego powiatu mają być gminy pojedyncze czy też zbiorowe.

Przywrócenie gmin jednostkowych przyniesie następujące korzyści:

- 1) ułatwi życie obywatelom dając im możliwość zadecydowania, czy wygodniejszy dla nich będzie ustrój gminy pojedynczej czy zbiorowej;
- 2) dopuści kilkakrotnie wyższą liczbę obywateli do udziału

we władzach samorządu gminnego, gdzie posiadają oni duże doświadczenie w sprawach publicznych;

- 3) uczyni samorząd gminny bliższym społeczeństwu a tym samym wzbudzi żywsze i głębsze zainteresowanie sprawami publicznymi;

- 4) usunie z samorządu gminnego tendencje biurokratyczne a uczyni z niego instytucję będącą prawdziwą i żywą wyrazicielką woli społeczeństwa.

Co się tyczy załatwiania bardziej skomplikowanych spraw samorządu, to będą je mogli załatwiać fachowi sekretarze gminni, przy czym jeden sekretarz mógłby obsłużyć kilka pobliskich wsi. Podobnie rozwiązano ten problem na terenie Belgii.

W wypadku, gdy kilka czy kilkanaście sąsiednich gmin będzie miało do zrealizowania wspólne cele gospodarcze, n.p. budowę wspólnej drogi lub szkoły, to ustawa powinna przewidzieć utworzenie związku międzykomunalnego dla wykonania określonych zadań na podstawie decyzji właściwych i zainteresowanych powiatowych związków samorządowych.

Związki międzykomunalne zasługują na najszersze rozpowszechnienie na terenie Polski, gdyż dają one nie tylko korzyści gospodarcze, ale pogłębiają ducha solidarności, do czego zmierza też ruch spółdzielczy.

Reforma gminy oparta na zasadach wyszczególnionych w tym artykule przyczyniłaby się w znacznej mierze do wyzwolenia politycznego szerokich mas ludowych i do zespolenia obywatela z samorządem. Reforma ta powinna uczynić samorząd zdrowym i trwałym fundamentem odrodzonego Państwa i najlepszą szkołą obywatelskiego życia, podobnie jak to uczyniła wielka reforma samorządu brytyjskiego dokonana przed stu laty.

Mgr. Witold Komar.

STANOWISKO KRAJU

Tak się już przyjęło na świecie, że w każdej organizacji, a przede wszystkim w życiu politycznym państwa wszyscy nieomal przywódcy na większą, czy mniejszą miarę starają się skupić około swych haseł i programów politycznych, gospodarczych i społecznych, jak największe masy narodu. Gdy im się uda zyskać większość, obejmują rządy w państwie, gdy tracą większość, ustępują. Zatem sprawujący władzę demokraty-

cznie starają się mieć zaufanie narodu, aby móc swój program realizować.

Stanowisko większości narodu, którym rządzą, jest dla nich nakazem, który lojalnie spełniają. Tylko w systemie dyktatorskim stanowisko większości narodu nie jest brane pod uwagę, jest lekceważone, a rządy dyktatorskie uważają, że mogą kierować narodem przy pomocy policji, wyroków sądowych i więzień.

Gwałciciele mają nieraz czelność wmawiać w społeczeństwo, że rządzą nim według jego woli. Z takim zjawiskiem w Polsce mieliśmy do czynienia przez 13 lat.

Do czego rządy dyktatorsko-elitarne w Polsce doprowadziły? W jakiej tragedii znalazł się naród, już piąty rok płacąc najwyższą cenę za swawolę, za politykę władców, o których nikt nie może powiedzieć, że wyszli oni z woli narodu! Bo byłoby to sprzeczne z rzeczywistością. Okres radosnego życia, jakie stworzyli dla siebie, gotując narodowi Golgotę, zakończył wrzesień 1939 r.

Znaleźli się oni nieomal wszyscy na emigracji powszechnie zwanej zmotoryzowaną i w porównaniu z tym, co przeżywa naród w Kraju, lub ci wszyscy deportowani, czy to w tajgach Sybiru, czy u Niemca na robotach, żyją jak u Boga za piecem. Ba, nawet o wojnie, prócz ucieczki w limuzynach z Polski, nie wiele więcej wiedzą.

Po kampanii wrześniowej stanęła Polska na dnie przepaści. W takiej sytuacji było koniecznością powołanie rządu, któryby podjął sprawę polską, ustalił linię nowej polityki i kierował walką o wyzwolenie narodu. Na czele rządu stanął śp. Gen. Sikorski, który do współpracy powołał przedstawicieli stronnictw politycznych. Stronnictwa te przez 13 lat prowadziły zdecydowaną walkę o zmianę systemu rządzenia państwem, o praworządność, o sprawiedliwość społeczną, o prawo głosu i

w kółkach do systematycznego zaznajomienia się z współczesną wiedzą socjologiczną i ekonomiczną a także z dziejami cywilizacji, naturalnie obok kształcenia się w zakresie polskiej historii i literatury. W tym celu proponowałem ułożenie przez centralizację odpowiedniego programu lektury i tematów dla dyskusyj oraz zobowiązanie wszystkich kółek do wprowadzenia go u siebie — a ponadto jeszcze opracowanie wzorowego katalogu naszych tajnych bibliotek kółkowych.

Po paru burzliwych dyskusjach Centralizacja wnioski te przyjęła i poruciła mi ich wykonanie. Do współpracy nad katalogiem bibliotecznym zaprosiłem Mielczarskiego. W ciągu roku każdy z nas przeczytał chyba ze setką dawniejszych i współczesnych powieści i poezji zakazanych przez cenzurę rosyjską oraz niecenzuralnych i cenzuralnych dzieł naukowych.

A dla opracowania programu samokształcenia z dziedziny nauk społecznych zwróciłem się o radę do najwybitniejszego wówczas publicysty kierunku socjalistycznego, pisującego w "Prawdzie" Ludwika Krzywickiego i do redaktora tygodnika "Głos", w którym zaczynała się wówczas kształtować późniejsza ideologia narodowo-demokratyczna: Józefa Potockiego, pisującego pod pseudonimem "Bohusz." O redakcjach obu tych tygodników opowiem za 2 tygodnie.

St. Grabski.

decyzji całego narodu, o zmianę zasadniczą polityki zagranicznej.

Czy w świetle tych wydarzeń można było przy tworzeniu rządu pominąć ludzi tych kierunków ideowych, które łączyły naród polski i wytyczały cele i drogi, po jakiej winna była polska polityka iść już przed wrześniem, i ma też iść w przyszłości?

Czy można było pominąć ludzi, którzy mieli zaufanie narodu i do dziś dnia się nim cieszą i z pożytkiem dla sprawy polskiej pracują?

Stwierdzam, że nie, a twierdzenie swoje opieram na nastrojach i poglądach szerokich mas w Kraju. Również wśród rodaków w Rosji przez 2 lata stale podkreślano i wierzone, że nikt inny, tylko rząd oparty o główne kierunki polityczne, które rozwinęły się w Polsce, potrafi nas uwolnić i zapewnić Polsce pełne odrodzenie.

I słusznie p. prof. Grabski zauważył w swym artykule p.t. "Wola Narodu," w Dzienniku Polskim, że "najbardziej ze wszystkiego na rzecz naszej sprawy przemawia dziś fakt ścisłej, opartej na pełnym, wzajemnym zaufaniu, współpracy czynnych w Kraju sił politycznych z działającym w Londynie rządem. A walczące w Kraju siły polityczne, to nie żadne organizacje nowej, jakiejś bezpartyjnej współpracy z rządem, ale organizacje o wyraźnym partyjnym obliczu."

Warto również przytoczyć dalszą część tego ustępu z artykułu p.t. "Wola Narodu." "Tak zwany rząd fachowy, choćby się składał z najbardziej utalentowanych i mądrych ludzi nie posiadających jednak zaufania działających w Kraju stronnictw, nie byłby rządem narodowym" oraz ustęp "wołą też narodu jest, żeby wiedzieli nie tylko Polacy, ale i rządy sprzymierzonych, że poparcie olbrzymiej większości zorganizowanego społeczeństwa polskiego w Kraju ma rząd, a nie grasująca tu przeciwko niemu opozycja."

Za słowami tymi, które przytoczyłem z artykułu p.t. "Wola Narodu" stoi deklaracja krajowa, ogłoszona w "Dzienniku Polskim" dnia 22 października br. Mówi ona "podpisane stronnictwa, reprezentujące główne kierunki polskiej myśli politycznej, oraz olbrzymią większość zorganizowanego społeczeństwa polskiego, postanawiają ze sobą współdziałać conajmniej do czasu ogłoszenia wyborów do konstytucyjnych ciał ustawodawczych. Kierując się przy tym wytycznymi programowymi, zawartymi w deklaracji rządu, udzielają poparcia rządowi, wywodzącemu się ze stronnictw i ponoszą za niego odpowiedzialność."

Takie też stanowisko zajął Prezydent R. P. powołując rząd, złożony z przedstawicieli czterech głównych stronnictw. Takiego rządu domagaliśmy się przed wojną, o taki to kierunek polityki, jaką dziś prowadzi rząd, walczyliśmy narażając nieraz życie, przesiadując we więzieniach, żyjąc pod grozą "łamania kości" i niszczenia dobytku.

Od zasad, o które toczyła się walka nie odstąpi żaden ideowy kierunek polityczny; ponieważ ma na celu dobro całego narodu, a nie kliki, grupy, czy zadufanych w sobie jednostek, a co więcej po tych ciężkich doświadczeniach nie pozwolimy, ani sobie, ani Polsce narzucać woli przez jednostkę, czy klikę, obojętnie jak ona się będzie nazywała, i pod jakimi szyldami będzie występowała.

Jest jedna prosta droga dla wszystkich. *Kto chce dla państwa pracować, pracę znajdzie i znaleźć ją musi.* Kto chce warcholić i warcholi, przyjdzie czas, że będzie musiał zdać rachunek, a sprawiedliwości stanie się zadość.

Wobec piętrzących się przeszkód, z jakimi walczymy o sprawę, o jutro Polski, polska racja stanu nikogo nie zwalnia od wysiłku. Kto tylko nosi imię Polaka, kto jest obywatelem i zamierza obywatelstwo na przyszłość zachować, musi *solidarnie* walczyć o wspólną sprawę.

Czy tak wszyscy postępują? Ośmielę się stwierdzić, że nie.

Gdy weźmiemy ostatnią "Myśl Polską" do ręki, zobaczymy, ile tam jadu, ile niechęci usiłuje się wszczepić w społeczeństwo polskie tu na emigracji w stosunku do rządu. A jak fałszywe, nieczym nie uzasadnione są te zarzuty. Przyjrzyjmy się artykułowi p. t. "Wobec deklaracji." Nie poruszam spraw dotyczących wewnętrznej organizacji Stronnictwa Narodowego, uważam, że to do mnie nie należy. Ale pragnę zwrócić uwagę na to, co dotyczy sprawy polskiej. Między innymi pisze autor: "Jeżeli idzie o wnioski, jakie już dzisiaj nasuwają się z ogłoszonego tekstu deklaracji, stwierdzić należy, że cztery stronnictwa deklarowały poparcie tylko takiemu rządowi, który byłby wyrazem współpracy tych stronnictw" — a dalej brzmi zapytanie: "czy taki rząd istnieje? Odpowiedź — nie."

Nie posądzam, by autor nie umiał czytać i nie miał czasu przeczytać do końca ogłoszonej deklaracji. Nie przeczę, że lepiej czyta ode mnie, bo ja orałem, gdy autor rozczytywał się w książkach i nabierał biegłości w piśmie. Ja medytowałem przy pługu, autor rozważał nad książkami. Dziwię się przeto, że nie dostrzegł tego w deklaracji, iż cztery stronnictwa w Kraju, a w tym i jego własne przechodzi do porządku dziennego nad opozycją tegoż pana i jemu podobnych. Bo pytam, komu potrzebna taka opozycja? Czy Polsce w dzisiejszej dobie? Nie! Czy stronnictwu jego w Kraju, które walczy z okupantem, tak jak przystoi na poważne stronnictwo? Uważam, że też nie. A przecież nie podobnem jest, by w Kraju nie znano składu osobowego rządu i by przy uchwalaniu deklaracji nie brano tego pod uwagę.

Dalej pisze ten sam autor: "jaka powinna być najsensowniejsza odpowiedź na zarzuty, że rząd nie odpowiada w pełni woli narodu polskiego," poczem żąda powołania nowego rządu, na szerszej podstawie, niż obecnie. Nie wiem, o kogo tu chodzi, czy o samego autora, czy też o tych tegich fachowców, o których pisząc, nie wymienił nazwisk. Czy naprawdę tacy istnieją? — Tu na emigracji? Możeby był łaskaw wymienić nazwiska i wskazać ich miejsce pobytu. Jeśli to mają być ci, co Polską trzynastcie lat rządili, — a sądzę, że autorowi o nich chodziło, — to deklaracja czterech stronnictw żąda wręcz odwrotnie, by ludzie, kierujący sprawą polską nie byli obciążeni odpowiedzialnością za praktyki reżimu sanacyjnego i tendencje totalistyczne.

W tej samej "Myśli Polskiej" zamieszczono sprawozdanie ze Zjazdu Ziem Południowo-Wschodnich i rezolucję p. Sierza. Rezolucja ta żąda powołania rządu z woli narodu. Jakiego narodu? Czy tego co pod kierownictwem czterech stronnictw walczy niezłomnie w kraju z wrogią przemocą, czy też złożonego z emigracyjnych zwolenników "Myśli Polskiej", czy Hauke-Nowaka, a może Mackiewicza?

Ci panowie wyżej wymienieni, winni nareszcie zrozumieć, że nasz naród, choć oni do niego należą, przedstawiał i przedstawia się zupełnie inaczej, niż oni go sobie wyobrażają. Większość narodu polskiego to chłopci i robotnicy, w pełni uznający równe i sprawiedliwe prawo do życia i do pracy, ludności miast i innych zawodów. To ludzie znający swoje obowiązki, ale znający również i swoje prawa.

Zapewniam, że nawet tysiąc Sierzów i tysiąc jego rezolucji nie mogą zmienić tego, co odpowiada Krajowi i jego woli. Bo gdyby się rząd liczył z takimi niepoważnymi rezolucjami, rząd, który ma Kraj za sobą, sambył wziął kłonicę i przegnałby tych ludzi z takiego rządu.

Zatem niech panowie, których emigracyjna polityka idzie we wręcz odwrotnym kierunku od polityki stronnictw krajowych przestaną się podawać za obrońców woli narodu. W sprawie kreślow wschodnich stanowisko rządu, jak i całego narodu jest

jasne. Ale jasne jest także w sprawie składu rządu, Kraj sam wypowiedział się, jaki rząd ma go reprezentować.

Na czele obecnego rządu stoi chłop, zastępcą jego jest robotnik. Są oni przywódcami masowych dwóch ruchów politycznych. Nikomu krzywdy nie robią, a tymbardziej państwu i interesowi narodowemu. Chłop i robotnik nie ma na swoim sumieniu niczyjej krzywdy społecznej, nie ma też splamionych rąk niczyją krwią, nie splami ich nigdy, jak to czyniono w Polsce poczynawszy od śmierci Narutowicza, a skończywszy na ostatnich pacyfikacjach przeprowadzanych na chłopach i robotnikach przed wrześniem 1939 r.

Dwadzieścia cztery miliony chłopów i miliony robotników stać na to, aby ich w tak ciężkiej chwili reprezentowali ludzie z pośród nich, do których mają zaufanie. Tymbardziej że chwila obecna przypomina rok 1920. To co naród polski wywalczył z karabinem w rękę, przez tych "silniejszych" fachowców zostało zniweczone.

Panowie Bieleccy, Mackiewicz, Matuszewscy, Hauke-Nowaki powinni przestać prowadzić walkę z legalnym rządem, którego podstawą jest wola narodu, jeżeli nie chcą utrudniać bardzo ciężkiej walki o całość naszych granic.

Uważam również, że p. Nowakowski powinien w swoich artykułach uwzględnić przede wszystkim stanowisko Kraju, na tym oprzeć swoją pracę na uchodźstwie. Dużo jest jeszcze do odrobienia i dlatego zamiast szkodzić, pomóc może sprawie polskiej.

Ponieważ jest mowa o "narodzie" chciałem przy sposob-

ności poruszyć również sprawę artykułu p.t. "Mądry ludowiec" zamieszczonego w ostatniej "Myśli Polskiej." Pod adresem ludowców, tych, co byli na Zjeździe w Edynburgu 17 października rb. "Myśl Polska" daje pouczenie o demokracji. Nie korzystali chłopci ze wskazówek i nauk o demokracji tych panów dotychczas i nie będą korzystać w przyszłości. Demokracja taka, jakiej byliśmy świadkami na popołudniowych obradach w Edynburgu, podobna jest zupełnie do tej demokracji, którą głosili ci, z którymi naród polski walczył przez trzynaście lat. W artykule tym powiedziano również, że z takim poziomem politycznym "Mądry ludowiec" może prowadzić walkę o to z którego końca spasać najlepiej gminne pastwisko, a nie w obronie suwerenności i legalności rządu na terenie międzynarodowym.

Tak, to jest prawda, ludowiec wie, skąd ma zacząć pastwisko, bo na wsi wyrósł i krowę pasł. I to jest też zaszczyt dla niego. Witos krowy pasł, a był trzykrotnie premierem i dobrze się Ojczyźnie zasłużył.

To są właśnie metody i sposoby walki panów z "narodem" nietylko z rządem, ale ze wszystkimi, którzy nie chcą tak postępować, jak oni dyktują. Kto nie tak myśli i mówi, jak oni dyktują, ten jest wrogiem państwa i narodu, ten nie jest "tęgim fachowcem" ten się nadaje tylko do tego, ażeby prowadzić walkę "z którego końca najlepiej spasać gminne pastwisko."

Jednak tak się już przyjęło na świecie, że w każdej organizacji decyduje większość, że w życiu politycznym decyduje rzeczywisty Naród, a nie ci co sobie bezprawnie przywłaszczają prawo przemawiania jego imieniem.

Władysław Zaremba.

ZBYT GŁUPIE KŁAMSTWO

P. Matuszewski, jeden z polityków obozu sanacyjnego najbardziej odpowiedzialnych za jego fatalne wyniki gospodarcze, wśród swych napaści na rząd napisał w nowojorskim "Nowym Świecie" (a oddawna współdziałający z nim w dążeniu do wywołania kryzysu rządowego organ p. Bieleckiego, "Myśl Polska," przedrukował), że "takie figurki, jak p. Popiel, Kaczyński, nie reprezentują wogóle nic — brak im nawet stronnictwa, które mogło by ich wydalić."

Niewybredność polemicznego stylu p. Matuszewskiego nie dziwi nas. Ale dziwi nas nadmierna jego wiara w bezkrytyczną łatwowierność jego czytelników. Gdyby napisał on, że ministrowie ks. Kaczyński i p. Popiel w młodości ograbili starą ciotkę — ktoś nie znający ich mógłby temu, być może, dać wiarę. Ale gdy zaprzecza on istnieniu ich stronnictwa — uwierzyć tak głupiemu kłamstwu może chyba tylko zupełny analfabeta polityczny.

Toć każdy, cokolwiek interesujący się obecnym życiem Kraju, wie, że całą tam podziemną walką kieruje zespół czterech stronnictw, współdziałających z delegatem rządu, a wśród tych czterech stronnictw znajduje się i Stronnictwo Pracy.

Nie sposób zaś wyobrazić sobie, by trzy wielkie stronnictwa — narodowe, ludowe i socjalistyczne — dawały równy z sobą głos w kierownictwie prowadzoną w Kraju polityką narodową — jakimś nie istniejącemu na miejscu stronnictwu.

P. Matuszewski wie dobrze, że Stronnictwo Pracy nie tylko jest w Kraju, ale że trzy inne stronnictwa powierzały mu nawet w pewnych momentach kierowniczą rolę w zespole czynnych w Kraju sił politycznych. Wie on o tym, ale rachuje, że byle z tupe-tem i często coś twierdzić, — znajdują się wreszcie tacy, co uwierzą.

Wie on też z pewnością o olbrzymich ofiarach, jakie poniosło stronnictwo to w walce podziemnej.

W marcu 1942 r. został rozstrzelany przez Gestapo redaktor tajnego organu Stronnictwa Pracy "Głos Warszawy," Franciszek Kwieciński. Wraz z nim poniosło śmierć z rąk zbirów niemieckich stu kilkudziesięciu bliskich towarzyszy jego pracy, a wśród nich: redaktor Orłowski, inż. Bujalski, p. Ratajczyk. Również zamordowani zostali przez Niemców: ks. Jan Piwowarczyk, wybitny publicysta kierunku chrześcijańsko-społecznego oraz dr. W. Tempka, wiceprezes zarządu Głównego Stronnictwa Pracy. Członkiem jego był także zmarły b. prezydent Poznania, Ratajski.

Być może jednak, że p. Matuszewski sądzi, że stronnictwo które straciło tylu wybitnych swych działaczy — musiało niepomniernie zmaleć. Jeśli tak, to myli się gruntownie. Wszystkie cztery stronnictwa, współdziałające w Kraju z rządem, poniosły i ponoszą nieustannie olbrzymie ofiary. Ale te ofiary nie osłabiają ich. Na miejsce tych, co zginęli, przychodzą nowi, bardziej zawzięci bojownicy.

Naprawdę niema w Kraju jednego tylko stronnictwa — sanacyjnego. Nie mało oczywiście dawniejszych członków niesławnej pamięci "Obozu Zjednoczenia Narodowego" przejrzało po klęsce wrześniowej i stanęło do walki w szeregach czy to innych stronnictw, czy armii krajowej, podporządkowując się karnie dyrektywom rządu i jego delegata w Kraju. Wielu z nich zapłaciło za swą patriotyczną robotę życiem, a tym, co przeżyją te straszne dni próby, nikt nie będzie wytykał, że przed wojną szli błędną drogą. Bo też zeszli z niej całkowicie. Na nich jednak niech p. Matuszewski nie liczy.

PRÓŻNE WYKRĘTY

Na przestrożę prof. Grabskiego pod adresem naszych "nie-nawistników," że "nie widzą, jak zbieżnym — choć tego nie pragną — jest kierunek ich napaści, przeczących, by Rząd nasz był rzeczywistym wyrazicielem woli narodu, z kierunkiem ataku Wandy Wasilewskiej" — p. Bielecki w 57 numerze "Myśli Polskiej" odpowiada: "Gdzie Rzym, gdzie Krym? Wasilewska twierdzi, że rząd polski nie ma prawa występować w imieniu Państwa Polskiego, my uważamy rząd obecny za jedyny legalny rząd Rzeczypospolitej. Wasilewska chce wprowadzić do rządu zwolenników Sowietów, my żądamy zmian w rządzie w kierunku jeszcze bardziej odpornym na komunistyczne chwytły i na bolszewicką propagandę, niż to jest obecnie. Próby zestawiania nas z komunistami były podejmowane już przed wojną i wiemy, jak się żałośnie skończyły. W ten sposób rozumując, musieliśmy zanotować, że ataki organu prasowego Wasilewskiej na podpisanego dziwnie zbiegły się z atakiem p. Grabskiego. Nie możemy stanąć na stanowisku, że jeżeli Wasilewska jest przeciw obecnemu rządowi polskiemu ze zgoda innych powodów, my mielibyśmy jak na komendę zachwycać się każdym jego posunięciem."

Nikt nigdy nie żądał od p. Bieleckiego i jego przyjaciół zachwycać się każdym posunięciem rządu. Zarówno ś.p. gen. Sikorski, jak i obecny premier p. Mikołajczyk, parokrotnie stwierdzali w Radzie Narodowej, że każdą rzeczową krytykę swych poczynań i zamiarów chętnie przyjmują. Nikt też nie twierdził, by ataki p. Bieleckiego na rząd i motywy ich były takie same, jak Wasilewskiej. Niepotrzebnie więc stara się on wykazać różnicę swoich i jej celów. Wszyscy dobrze wiedzą, że dążenia ich są diametralnie sprzeczne.

W tym jednak rzecz, iż pomimo tej przeciwstawności celów p. Bieleckiego i Wasilewskiej — ciągle przezeń zaprzeczanie rządowi naszemu charakteru rządu rzeczywistej jedności narodowej jest zbieżne z kierunkiem napaści Wasilewskiej, kulminujących w twierdzeniu, że rząd ten nie reprezentuje prawdziwej woli narodu.

Bywają chwile w życiu państw i narodów, kiedy uratować je może tylko bezwzględna jedność wewnętrzna. I w takich chwilach nieraz w niejednym kraju — u nas tak było w 1920 — ustawały wszelkie walki partyjne. Nie znaczy to, by wszyscy się "zachwycać" każdym posunięciem rządu, ale ci, którym się niejedno z polityki rządowej nie podobało, co najwyżej przychodzili do tych, od których to zależało, z doradą, jak błąd naprawić i z pomocą dla załatwienia szczytów, jaka wskutek owego błędu w jednolitym politycznym froncie powstała — a nie krzyczeli na cały świat, ku wiadomości wrogów i sojuszników: patrzcie, jak niedołężne jest nasze kierownictwo.

Ale tak wielkiego samozaparcia nie żądał nawet prof. Grabski od p. Bieleckiego. Domagał się on odeń w swym artykule tylko

jednego, by nie podawał równocześnie z Wasilewską — choć z innych motywów — w wątpliwość, iż za rządem naszym stoi naprawdę cały zwarty naród polski.

Bo w tej chwili nie kto inny, jeno rząd nasz broni wobec naszych wielkich sojuszników sprawy naszej niepodległości i całości naszej Ojczyzny — przeciwko o wiele większym od nas potęgom. Skuteczność tej obrony zawisła w wielkim stopniu od autorytetu, jaki ma i jaki mieć będzie premier Mikołajczyk wraz z całym rządem w opinii kierowniczych sfer brytyjskich i północno-amerykańskich.

Nie są zaś żadną miarą obroną Polski najbardziej nawet patriotyczne monologi. A p. Bielecki i cała jego grupa dotychczas tylko monologują. Bo monologiem jest polemika z wrogią propagandą, prowadzona jedynie po polsku przed polską publicznością. Nie zmieni ta polemika ani na jotę opinii angielskiej czy amerykańskiej. Natomiast skrętnie są notowane w oficjalnych kancelariach Londynu i Waszyngtonu wszystkie objawy naszych wewnętrznych rozterek — i to nie na naszą korzyść.

Ale p. Bielecki pisze: toć i p. Grabski mnie atakuje, nie bacząc, że robi to również Wasilewska. — Wolne żarty. Gdyby od autorytetu p. Bieleckiego zależało w najmniejszym choćby stopniu powodzenie na polu międzynarodowym naszej polityki narodowej, to niezależnie od tego, czy napada nań Wasilewska, czy nie napada — prof. Grabski z pewnością tego jego autorytetu w nieczyłby nie naruszał. Ale p. Bielecki z powodu dawniejszych jego poglądów nie jest zgoda dodatnim czynnikiem w naszej polityce międzynarodowej.

Najbardziej napozór przekonywująco brzmią następujące słowa p. Bieleckiego: "Wasilewska twierdzi, iż rząd polski nie ma prawa występować w imieniu państwa polskiego, my uważamy rząd obecny za jedyny legalny rząd Rzeczypospolitej."

Pięknie — ale jeżeli rząd obecny jest jedynym legalnym rządem Rzeczypospolitej — to wcale nie ładne jest przedrukowanie w tymże numerze "Myśli Polskiej" napaści p. Matuszewskiego, drukowanej w nowojorskim "Nowym Świecie," z komentarzem, że napisać ta zawiera "mocne i nie pozbawione słuszności uwagi o obecnym rządzie polskim."

A uwagi to streszczają się w twierdzeniu: "rząd p. Mikołajczyka nie tylko nie jest Rządem Jedności Narodowej, ale nawet nie jest rządem większości. Jest rządem mniejszości."

Otóż Wasilewska bynajmniej nie dyskwalifikuje naszego rządu, jako nielegalnego, odmawia mu ona prawa występowania w imieniu Państwa Polskiego — gdyż jej zdaniem reprezentuje on tylko "reakcyjną mniejszość narodu." A p. Matuszewski twierdzi również, że rząd ten jest "rządem mniejszości," jeno lewicowej. Dla angielskich zaś i amerykańskich polityków jest tylko jedno ważne: czy rząd nasz reprezentuje cały naród, czy też jedynie jego mniejszość. A czy ta mniejszość jest ewentualnie lewicowa, czy prawicowa — to jest im obojętne.

Próżne wykryty. Zarzut p. Matuszewskiego, powtórzony i aprobowany przez organ p. Bieleckiego, że rząd nasz jest rządem mniejszości ludowo-socjalistycznej, jest na terenie międzynarodowym całkowicie zbieżnym z zarzutem Wasilewskiej, iż jest on mniejszości reakcyjno-faszystowskiej.

Jeśli p. Bielecki chce pomagać w walce o całość naszych granic, a nie utrudniać jej rządowi — musi zasadniczo zmienić kierunek i charakter swych krytyk, by naprawdę nie były zbieżne z kampanią oszczerczą naszych wrogów.

X.

MINISTERSTWO

WYZNAŃ RELIGIJNYCH I OŚWIECENIA PUBLICZNEGO
Buckingham Palace Mansions, Buckingham Palace Road,
London, S.W.1.

zawiadamia o wydaniu książki:

FLOREŃSKI STANISŁAW

Podstawowe wiadomości z zakresu ekonomii

Str. 146

Cena 5/-

Do nabycia w polskich księgarniach i kioskach.

EKSPANSJA I ASYMILACJA

Nie chcemy zaborów, nie marzymy o podbojach, lecz o utrzymaniu własnej ziemi, nie chcemy wynaradawiać. Mimo to warto, sądzę zastanowić się nad niektórymi przejawami ekspansji i asymilacji. Ułatwi nam to zrozumienie naszej przeszłości, naszych klęsk i sukcesów.

Każdy zdrowy, młody organizm narodowo-państwowy ma tendencję do rozrastania się. Jeśli ten rozrost jest połączony ze zmianami terytorialnymi, ze zmianami na mapie, z powiększeniem danego obszaru językowego lub państwowego, to mówimy o ekspansji. Nie jest to jednak określenie bardzo dokładne. Co do asymilacji, to naogół pod tym określeniem rozumiemy wchłanianie żywiołów obcych, zwykle licznie słabszych, zespalanie ich z żywiołem górującym kulturalnie lub licznie. Bardzo trudno przeprowadzić granicę między ekspansją a asymilacją. Asymilacja to też rozrastanie się narodu, ale mówiąc o asymilacji będę się starał mówić o przemianach, które nie powodują zmiany granic, ani językowych ani politycznych, lecz odbywają się w obrębie danego obszaru językowego lub politycznego.

W Europie najbardziej znaną formą ekspansji jest t.zw. „Drang nach Osten.” Jak wiadomo, spowodował on ogromne zmiany terytorialne. Czasem (choć bardzo rzadko) można się spotkać z poglądem, że jest to zjawisko nieuniknione, o charakterze bezwzględnej konieczności, zjawisko, z którym nie należy walczyć. Według tego poglądu Francuzi pchają ku wschodowi Niemców, Niemcy Polaków, Polacy zatem też powinni posuwać się na wschód ku Dnieprowi i dalej jeszcze, bo takie jest rzekomo prawo dziejów.

W rzeczywistości sprawa przedstawia się inaczej. Jeśli weźmiemy pod uwagę historię Europy od czasu, gdy zaczęły się formować dzisiejsze narody, to musimy stwierdzić, że w zachodniej i środkowej Europie poza narodem niemieckim żaden nie spowodował rewolucyjnych zmian na mapie językowej Europy. Np. granica językowa francusko-niemiecka, o ile znam jej historię (a muszę się przyznać, że znam słabo), nie uległa wielkim zmianom. Francja w czasach nowożytnych naogół posuwała się na wschód, ale nie wyparła Niemców całkowicie na drugi brzeg Renu, a granica językowa uległa tylko drobnym przesunięciom. Zawsze biegła przez Alzację i Lotaryngię. Przez to nie twierdzą bynajmniej, że nie zmieniła się granica narodowościowa. Mogą bowiem być — i są — Francuzi, mówiący w domu po niemiecku.

Gdybyśmy nawet przyjęli, że Niemcy stracili na rzecz Francuzów kilkanaście tysięcy kilometrów kwadratowych swego obszaru, to w każdym razie tymi drobnymi zmianami nie można tłumaczyć olbrzymich zdobyczy, jakie Niemcy osiągnęli kosztem Słowian. Olbrzymi obszar na wschód od Łaby, a częściowo także na zachód od Łaby, a dalej na południe również w obszarze Dunaju — przerasta wielokrotnie ewentualne straty Niemców na innych odcinkach. Te niezwykle sukcesy niemieckiego „Drang nach Osten” tłumaczą się z jednej strony rzadkim zaludnieniem zachodniej Słowiańszczyzny, słabym rozwojem gospodarczym i kulturalnym (co pozostaje w związku z dość długim okresem pozostawania w pogaństwie), a z drugiej strony wytłumaczenia trzeba szukać w niektórych cechach Niemców, zarówno ujemnych (np. zaborczość), jak dodatnich.

W obszarze Morza Śródziemnego granica językowa między Włochami a południowymi Słowianami, biegnąca dzisiaj w okolicy Triestu, nie uległa o ile mi wiadomo, poważniejszym zmianom. Nie wydaje mi się również, by się bardzo zmieniła granica językowa bułgarsko-serbska. Węgrzy od czasów usado-

wienia się na nizinie Pannońskiej trochę powiększyli swój obszar językowy, ale — jak wiemy — utrzymali się i Słowacy na Słowaczynie i Rumuni w Siedmiogrodzie. Turcy mają swój obszar językowy między Konstantynopolem a Adrianopolem, ale jest to drobnostka w porównaniu z tym, co w XVII wieku było w ich posiadaniu pod względem politycznym. Wiemy, że również Szwedzi i Duńczycy nie mogą się wykazać żadnymi poważniejszymi zdobyczami, jeśli chodzi o ich obszar językowy. Ekspansja narodu rosyjskiego odbywała się głównie na terenie Azji.

Jednym słowem stwierdzić należy, że niemiecka ekspansja w Europie była czemś zupełnie wyjątkowym. Kierowała się ona nie tylko na wschód, ale i na południe, jak świadczą liczne wyprawy Niemców do Włoch i skolonizowanie środkowej części Tyrolu, w dorzeczu górnej Adygi, w okolicach Meranu, Brixen, Bozen. Co do Polski, to musimy stwierdzić, że jej zyski na wschodzie nie są imponujące, jeśli chodzi o obszar językowy. Biorąc pod uwagę, że w Małopolsce Wschodniej są okazałe wyspy polskie ale nasz zwarty obszar językowy nie sięga do Zbrucza, to trzeba przyznać, że w ciągu tysiąca lat nastąpiły zmiany nie wielkie. Jeśli przyjmiemy, że tak zw. grody Czerwieńskie, które już za Mieszka I były polskie, leżały gdzieś między dolnym Sanem a górnym Bugiem i że okolice tych grodów Czerwieńskich były zaludnione do dość szerokiego promienia przez Polaków, to trzeba by dojsć do wniosku, że na niektórych odcinkach polska granica językowa nawet się cofnęła nieco mimo kilkunastowiecznej ekspansji polskiej.

Dość duży jest zysk polskości na północnym wschodzie. Przed tysiącem lat Polacy zamieszkiwali tylko małą część województwa białostockiego. Osadnictwo polskie sięgało poza Łomżę, ale dziś sięga poza Suwałki. Dalej mamy polską Wileńszczyznę, która była dawniej wyspą językową, a teraz jest mocno już zrosnięta z polskim obszarem językowym, który sięga aż do Dźwiny. Polskość Wileńszczyzny to wynik nie tyle napływu polskiej ludności, ile siły asymilacyjnej polskiej kultury. Najpierw spolszczyło się miasto i stało się potężnym ogniskiem kultury polskiej, potem polszczyła się bliższa i dalsza okolica. W podobny sposób pod wpływem polskiej kultury, polszczyły się również niektóre części dzisiejszego województwa nowogrodzkiego. Napływ Polaków z Polski centralnej, a więc przede wszystkim z ludnego Mazowsza, nie był wielki i nie odegrał ważnej roli. Polacy na tych ziemiach, to w ogromnej większości potomkowie spolszczonych Litwinów lub Białorusinów.

Ogólnie biorąc nasze postępy na wschodzie nie były wielkie. Tłumaczy się to oczywiście naszą tolerancją i łagodnością. Nie wysiedlaliśmy rodzimej ludności, nie mordowaliśmy jej tysiącami by zrobić miejsce dla swoich. Ale była jeszcze inna przyczyna. Obszar dawnej Rzeczypospolitej był w niektórych okresach zbyt wielki w stosunku do polskiego obszaru językowego. To znaczy, że był zbyt dużym, by można go było ściśle zespolić i złączyć językowo z rdzennym obszarem polskim, tymbardziej, że ówczesna ekspansja i asymilacja odbywała się bez gwałtów i okrucieństw, charakteryzujących współczesne dyktatury totalne. W czasach, gdy granice Polski sięgały niemal po Psków, Wiaźmę i Charków, fala polskości rozlewała się szeroko po tych olbrzymich obszarach wschodnich, ale z konieczności była płytka. Jak się ktoś wyraził, tworzyły się liczne kałuże, które wysychały, natomiast nie było tego wartkiego a głębokiego strumienia, który powstaje w zwałach, gdy fale napotykają na liczne a wielkie przeszkody. Oczywiście olbrzymią katastrofą, która przerwała cywilizacyjną pracę Polski, były rozbiory. Ale gdyby nawet nie

(Dokończenie nastąpi)

St. Sopicki.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Ogromne nagłówki dzienników głoszą „zupełny sukces” konferencji moskiewskiej. Pojawiają się artykuły, które równie dobrze można było przygotować wcześniej. Wynik konferencji nie mógł być inny, jak tylko „najlepszy.” Państwa sojusznicze są w wojnie z Niemcami — i to wojnie ciągle bardzo ciężkiej. Wierzy się w zwycięstwo, uważa się je za pewne — ale właśnie dlatego nie wolno lekceważyć przeciwnika, nie wolno dawać Niemcom jakichkolwiek atutów, któreby mogły wygrywać i w Trzeciej Rzeszy i w okupowanej Europie. Jeżeli ktoś sądził, że Sprzymierzeni oddadzą Niemcom olbrzymią usługę, ogłaszając, że między nimi a Rosją istnieje otwarty konflikt — to niekoniecznie dobrze zdawał egzamin z orientacji politycznej.

Ogłoszone tezy konferencji moskiewskiej nie wybiegają poza ramy tych deklaracji, które tylokrotnie ogłaszano w Londynie czy w Waszyngtonie. Państwa sojusznicze stoją na gruncie suwerenności i wolności narodów, innymi słowy, powtarzają jeszcze raz zasady Karty Atlantycznej. Chcą doprowadzić wojnę do zwycięskiego i szybkiego końca — co jest najzupełniej zrozumiałe. Chcą zapewnić pokój po wojnie i zgodne współżycie narodów. Żgodzi się na to każdy — i zastrzeżeń przeciwko ogłoszonym rezultatom tej konferencji być nie może.

O kwestii granic nie mówiono, odkładając te sprawy prawdopodobnie do konferencji pokojowej. Jedyną właściwie nowalią w decyzjach trzech mocarstw jest stwierdzenie dążenia do przywrócenia niepodległości Austrii. Dlaczego właśnie Austrii? Dlaczego kwestia austriacka, dosyć niespodziewanie, wyjechała na stół obrad moskiewskich?

Zdaniem naszym chodziło tu o zwrócenie uwagi na kilka ważnych momentów. Przedewszystkim na fakt dużej odrębności społeczeństwa austriackiego, zaznaczającej się zresztą bardzo wyraźnie od początku wojny. Wbrew tym fotografiom, które w 1938 roku nadsyłano z Wiednia — entuzjazmu do „Anschlusu” w Austrii nie było. Historia zajęcia Austrii nie wynikała bynajmniej ze „spontanicznej woli ludności.” Przeciwnie, Hitler zajął Austrię siłą, po ogłoszeniu przez Schuschnigga plebiscytu, który stawiał zupełnie wyraźnie kwestię niepodległości Austrii. Obywatele republiki naddunajskiej mieli oświadczyć się za albo przeciw niepodległości swego kraju. W Berlinie żywno uzasadnione obawy, że większość ludności austriackiej oświadczy się jednakowoż za niepodległością. Dlatego też zdecydowano się na zbrojny marsz na Wiedeń.

Nastroj przyjazny dla hitleryzmu zmalał ogromnie jeszcze w roku 1938. W czasie wojny zmienił się on całkowicie na niekorzystny brunatnego kanclerza. Pułki austriackie wyróżniały się w armii niemieckiej ludzkim podejściem do ludności okupowanych krajów, co oczywiście w Berlinie było źle widziane. Pozatym mnożyły się pogłoski o małej wydajności bojowej Austriaków. Podobno trzeba było ściągać całe oddziały z frontu, ponieważ nie dorastały one do ogólnego poziomu armii Hitlera. Nastroje w samym kraju są dla reżimu wybitnie nieprzychylnie. Swej spokojnej niepodległości Austriacy, mając swe dawne i ciągle bardzo żywe tradycje państwowe — z pewnością żałują. Deklaracja, powzięta w Moskwie, uczucia te niewątpliwie wzmoćni.

Pozatym mogą działać tu bardzo poważne względy na zapowiedzianą, wielką ofensywę na Zachodzie. Nie jest wykluczone, że sztaby armii anglosaskich chcą sobie pozyskać ludność krajów, które mogą się stać terenem walk. Nie znaczy to, aby właśnie tym terenem była Austria — ale zarówno dowództwo brytyjskie, jak i amerykańskie bierze pod uwagę wszystkie możliwości — a więc i możliwość ataku na Środkową Europę. Nastroje na Węgrzech nie są przyjazne dla Sowietów — ale nie

są również filoniemieckie. Tego terenu obrabiać już dzisiaj nie potrzeba. Natomiast więcej uwagi poświęca się Austrii. Stąd ta deklaracja, która z pewnością była wynikiem sugestii państw zachodnich.

O ile chodzi o żywotne interesy polskie — to oświadczenie w sprawie austriackiej jest dla nas korzystne. Wspomnieliśmy już, że Hitler zajmował Austrię po decyzji Schuschnigga przeprowadzenia plebiscytu za lub przeciw niepodległości tego kraju. Ale po zajęciu zbrojnym Wiednia, Linzu i Grazu — sam przeprowadził „plebiscyt” — będący pierwowzorem innych „plebiscytów” — które gdzieindziej, również na terenach okupowanych siłą miały się stać argumentem politycznym i rzekomo wyrażać wolę ludności. Otóż deklaracja w sprawie niepodległości Austrii przekreśla i sam akt gwałtu, jakim był zabór Austrii i wszystkie próby upozorowania tego gwałtu w oczach świata przez plebiscyty, dokonywane pod bagnetami okupantów. Jest to jakby potwierdzenie deklaracji Edena z 30 lipca 1941, że Wielka Brytania nie uznaje żadnych zmian, dokonywanych siłą. I dlatego ta analogia jest dla nas ważna.

Ważna jest jeszcze z innego powodu. Społeczeństwo austriackie, chętnie czy mniej chętnie wzięło jednakowoż udział w wojnie, po stronie Trzeciej Rzeszy, walczyło z koalicją Zjednoczonych Narodów przez lat cztery i walczy dotychczas. Mimo to jednak, deklaracja moskiewska przekreśla akt gwałtu, którym był zabór Austrii i „plebiscyt,” wracając temu krajowi niepodległość. *O ileż bardziej uzasadnione są prawa do niepodległości i nienaruszalności państwa, które od pierwszej chwili stawiało opór Niemcom, które przez cztery lata prowadziło z tymi Niemcami wojnę i prowadzi w dalszym ciągu, składając co dzień ofiary, wobec których błędą wszystkie wkłady do wojny innych, okupowanych krajów — i które wreszcie nie wydało ani Quislinga ani Hachy!* Jeżeli Austrii gwarantuje się niepodległość, to znaczy nienaruszalność jej terytorium — to coś dopiero mówić o Polsce, która ocaliła i Rosję odrzucając propozycje Niemiec wspólnej wyprawy na Moskwę i ocaliła Zuchód europejski, przeciwstawiając się, w warunkach dla siebie najfatalniejszych, Trzeciej Rzeszy!

Brak wiary w sprawiedliwość Boską i nawet ludzką jest grzechem. Dlatego też deklaracja w sprawie niepodległości Austrii musi i nas napędzać otuchą i wiarą, że te zobowiązania, które wobec Polski zaciągnął świat — zostaną dotrzymane.

W deklaracji moskiewskiej ważne są również postanowienia, dotyczące kary za zbrodnie wojenne. *Polska jest krajem, który bezwzględnie cierpi największe prześladowania ze strony Niemiec.* Wiadomości, które dochodzą z kraju, brzmią pod tym względem fatalnie. Od samego początku okupacji domagaliśmy się stanowczego oświadczenia Sprzymierzonych, że zbrodnie w Polsce będą bezwzględnie ścigane i i karane z całą surowością. Oświadczenie takie przychodzi w chwili, kiedy Niemcy znajdują się w sytuacji zlej. Prześladowca jest zazwyczaj tchórzem, liczącym na siłę swych rozkazodawców, a co za tym idzie, na bezkarność. Z chwilą, kiedy ta siła słabnie, widmo kary może działać w kierunku powściągającym. Dlatego i ten ustęp deklaracji moskiewskiej witamy z zadowoleniem.

Jak długo wojna?

Nastroje w Niemczech nie są dobre. Więcej, są gorsze aniżeli w roku 1918. Ale pomiędzy rokiem 1918 a 1943 jest olbrzymia różnica. Wówczas załamywał się duch zarówno w społeczeństwie cywilnym, jak i w armii. Dzisiaj całe społeczeństwo cywilne pracuje na rzecz armii, która ciągle jeszcze

jest doskonale zaopatrzona w żywność, amunicję i broń, podczas kiedy reszta Niemiec głoduje. Tego kontaktu, który był między armią a ludnością w 1918 dzisiaj nie ma. Armia zajmuje jeszcze ciągle olbrzymie tereny europejskie, które ją żywią i zaopatrują doskonale. Karność w armii niemieckiej trzymana jest żelazną ręką i objawów jej rozluźnienia brak.

Powtórę w roku 1918 Niemcy posiadały parawan, za który można było się schronić. Był to socjalizm, republikanizm, demokracja. Dwójka niemiecka w chwili, kiedy wojna była przegrana, wyszła na ulicę i robiła bardzo korzystną wówczas dla Niemiec — rewolucję. „Morgen, punkt um neun — fangt an die kaiserliche Revolution.” Scheideman, Noske i inni demokraci, którzy byli pod ręką — ocalili Niemcy.

Dzisiaj tego czynnika już nie ma. Hitlerizm zniszczył wszystkie partie polityczne — i wogóle poważnie naruszył niemiecką zdolność politycznego myślenia. Na czele państwa stoi człowiek, który niejednokrotnie oświadczał, że jeżeli on runie, to jednocześnie runą Niemcy i pociągną za sobą całą Europę. Hitler swych zapowiedzi dotrzymywał — i z faktem tym należy się liczyć. Analogii z Mussolinim nie da się tu przeprowadzać. Włochów wciągnął do wojny jeden człowiek, wojna ta była od samego początku niepopularna, jak się dzisiaj okazuje, Mussolini miał przeciwko sobie opozycję i w armii, i w kołach watykańskich, i na dworze królewskim. Natomiast Niemcy weszły do wojny z radością — sukcesy w Polsce i we Francji były entuzjastycznie przyjmowane przez całe społeczeństwo, wojna była wspaniałym interesem, który zdawał się opłacać sowicie. I za tę wojnę odpowiedzialne są całe Niemcy — o czym wiedzą oni sami lepiej, aniżeli nawet Sprzymierzeni. Na powtórne wyprowadzenie w pole zwycięzców — trudno już dziś liczyć. „Hitlera nienawidzę — mówił do jednego z naszych jeńców sierżant — komunista — ale wojnę, trzeba wygrać, bo inaczej pójdziemy wszyscy pod wodę.” Ta obawa kary jednocy jeszcze ciągle Niemców.

Powtórę jednocy ich Gestapo. Jest to organizacja olbrzymia, również pod względem ilościowym — druga armia, nie mająca naprawdę możliwości ani odwrotu, ani skrycia się w tłumie — notoryczni bandyci, zaprawiani z całą premedytacją do bezwzględного okrucieństwa. Nie mają oni, podobnie jak Hitler nie do stracenia. Muszą walczyć z każdym objawem załamania w Trzeciej Rzeszy — bo klęska Niemiec — to jest ich wyrok śmierci. I nie ulega wątpliwości, że ta zatruta broń, którą ma w swym ręku Himmler — jest bardzo poważnym czynnikiem, cementującym wolę oporu Niemiec. Niemcy nie mają odwrotu, i dlatego walczą — licząc na coś, co może jeżeli ich nie ocali, to przynajmniej zapobiec katastrofie. Trzecia Rzesza znajduje się w podobnej fazie wojennej, jak Francja w roku 1813 i 1814. Jest wyczerpana silnie — ale wciąż jeszcze jest to przeciwnik groźny.

Sytuacja na frontach.

W tej chwili istnieją trzy fronty, bardzo dla Niemiec niebezpieczne. A więc front wschodni — najdłuższy i ilościowo największy. Dalej front włoski, drugi front europejski, niezwykle ważny, jeżeli chodzi o przygotowania rozstrzygnięć orężnych na południe, na Bałkanach i w Środkowej Europie. Wreszcie trzeci front — lotniczy, o którym wielu publicystów wyrażało się z przekąsem, a który jest dla Niemiec bodaj najcięższy. Korespondenci szwedzcy twierdzą, że w Niemczech jest powszechna opinia, że gdyby nie bombardowania powietrzne — to kampania rosyjska byłaby wygrana już dawno. Rosjan ludność Niemiec nie obawia się. Obawia się natomiast bomb angielskich — i Gestapo. Zniszczenia, dokonywane przez RAF i lotnictwo amerykańskie — są potworne. Z powierzchni Niemiec znikają całe miasta. życie gospodarcze kraju jest ustawicznie dezor-

ganizowane. Z chwilą, kiedy front brytyjski podszedł pod Rzym niszczone są wszystkie zakłady i wytwórnie przemysłu wojennego, które przeniesiono do Austrii i Czech. Wiener Neustadt leży w gruzach, na ogromne niebezpieczeństwo narażone są fabryki Skody i cały wielki, wojenny przemysł w Sudetach.

Front włoski jest przez Niemców broniący wprost świetnie. Według obliczeń prasowych znajduje się tam ogółem trzydzieści dywizyj niemieckich, z których dziesięć jest w rezerwie w północnych Włoszech. Są to oddziały nadzwyczajnie wyposażone pod względem technicznym, mające za zadanie opóźnianie marszu brytyjsko-amerykańskiego. Ilość sprzętu, przypadająca na poszczególne kompanie — jest wprost olbrzymia. Sztab generalny niemiecki rzucił na ten odcinek najlepsze wojska. Dlatego też ofensywa brytyjska idzie tam powoli — ale niemniej ustawiczne posuwanie się armii anglosaskich jest dla Niemców bardzo niebezpieczne, ze względu na możliwość przeniesienia się walki na inne tereny, sąsiadujące z Włochami. Bronienie twierdzy europejskiej, w miarę powstawania coraz to nowych frontów — jest trudne. Inicjatywa w piątym roku wojny przeszła do rąk Sprzymierzonych, co stawia Niemcy w sytuacji nadzwyczaj ciężkiej.

Wydarzenia na froncie wschodnim powodują szereg komentarzy o katastrofalnym stanie armii niemieckiej itd. Nie ulega wątpliwości, że sytuacja Niemców na wschodzie jest poważna a ze zdobyciem Kijowa stała się groźna. Do chwili bowiem zaję-



Coraz
powszechniej
używają
oficerowie

PASTY

NUGGET

WOJSKOWY BRĄZ
(w pełnym tonie koloru)

dla nadania swym butom
pięknego połysku
i elegancji.



Również w kolorach
czarnym i ciemno-
brąz.

Produkcja zmniejszona
używajcie oszczędnie.

cia tego miasta można było liczyć się z tezami niemieckimi o planowym odwrócie i t.d. Po klęskach w Afryce Północnej i zagrożeniu niemieckich pozycji w Europie Południowej — we Włoszech i na Bałkanach — należało się liczyć z dążeniami generalnego sztabu niemieckiego do skrócenia frontu, do zbliżenia się armii wschodniej w stronę wielkich baz ukraińskich i t.d. Jeńcy niemieccy, których wzięto do niewoli na Sycylii, a którzy jeszcze w zimie tego roku byli na froncie rosyjskim, podawali zgodnie, że mówiono powszechnie o planowym skróceniu frontu, o zabezpieczeniu linii etapów, które były ogromnie wydłużone. Podawano przykłady, że chory żołnierz niemiecki, transportowany do szpitali w Polsce — umierał na zapalenie płuc podczas ogromnie długiej drogi do Lwowa lub Wilna. Żle funkcjonowały również oddziały zaopatrzenia w żywność i amunicję. Z chwilą, kiedy zawiodła próba rozbicia Rosji — należało uniknąć losu wojsk napoleońskich, to jest stosować zasadę planowego odwrotu w warunkach możliwie najlepszych, w najbardziej dogodnej porze roku, w lecie, aby zająć nowe, silne pozycje przed zimą. I odwrót niemiecki, rozłożony na pięć miesięcy, miał wszelkie cechy odwrotu nie tyle dobrowolnego, ile planowego. Niemcy opuszczali te tereny, jakie opuścić zamierzano, bronili tych pozycji, które uważali za wyjątkowo ważne. Walki pod Kijowem toczyły się zgorą miesiąc, tak samo długo trwały walki pod Krzywym Rogiem. Według powszechnego przekonania, linią obronną niemiecką miała być linia biegnąca od Jeziora Ilmeń, poprzez Kijów do Odessy.

Tymczasem wypadki zaczynają przybierać inny obrót. Zdobycie Kijowa jest bardzo poważnym ciosem dla armii niemieckiej, nie tylko pod względem moralnym — ale przede wszystkim z powodów strategicznych. Zachodzi możliwość przełamania sił niemieckich na pół, to znaczy odcięcia całej armii południowej. Gdyby Niemcy musiały wycofać swe wojska z Odessy, to trzeba by było cofać się aż na linię Zbrucza, co równałoby się katastrofie. Albowiem tezy o ewentualnej obronie Niemców na linii Bugu — są nierealne. Cofnięcie się na linię Bugu — oznaczałoby koniec armii niemieckiej wogóle, koniec wojny, zmuszenie Berlina do kapitulacji. Dlaczego? Ze względu na fakt, że taki dowrót zmusiłby Niemców do wycofania się z Rumunii, to znaczy do utraty pól naftowych — jedy-nych rezerw paliwa, jakimi rozporządza Trzecia Rzesza. Benzyna syntetyczna zastępowała tylko w części naftę, przejście na całkowite stosowanie tej sztucznej beznyny w wojnie motorowej jest niemożliwe. Niemcy porobili bezwzględnie zapasy naftowe, ale mogą się one wyczerpać nadzwyczaj szybko. Odcięcie od Płocsti i wogóle do Rumunii oznaczałoby dla Niemców nie początek katastrofy, ale samą katastrofę.

Dlatego należy się liczyć z wielką próbą kontrataku niemieckiego, czymś w rodzaju naszego manewru nad Wisłą z 1920, powtórzonego tym razem gdzieś nad Dniestrem. Inaczej nie tylko o zwycięstwie na wschodnim froncie, ale wogóle o obronie Niemiec — nie może być mowy i bez przesady można powiedzieć, że najbliższe tygodnie rozstrzygną nie tylko o losie wojny, ale nawet o okresie jej trwania. Zależnie od najbliższych wydarzeń, kapitulacja Niemiec nastąpić może albo za rok — albo za miesiąc.

Wojna weszła w nową fazę: obrony Niemiec. "Będziemy się teraz tylko bronić" — powtarza prasa niemiecka. Bardzo smutne dla Niemców oświadczenie. Kto bowiem chce się tylko bronić — ten się nie obroni.

Sprawy tureckie.

Po konferencji moskiewskiej odbyło się spotkanie min. Edena z premierem tureckim w Kairze. W prasie anglosaskiej pojawiły się pogłoski o mającym jakoby nastąpić przyłączeniu się Turcji do państw walczących z Niemcami i t.d. Prasa turecka zaprzeczyła tym pogłoskom. Nie ulega wątpliwości, że sympatie w Ankarze są po stronie W. Brytanii i Ameryki, ale położenie geograficzne, a co za tym idzie, interesy polityczne Turcji, są tego rodzaju, że wymagają ze strony polityki tureckiej jak największej ostrożności. Narady w Moskwie śledzono w Ankarze z ogromną uwagą, i uważa się ich wynik za korzystny dla Turcji. Ale porzucenie polityki neutralności i angażowanie się w tej chwili w wojnę byłoby uważane w Turcji jako posunięcie niekorzystne, narażające rząd turecki na skupienie uwagi na jednym tylko odcinku bałkańskim. Zmiana tego stanowiska może oczywiście nastąpić z chwilą, gdyby wojska anglosaskie uderzyły na Bałkany, stwarzając tam nowy i bardzo silny front. Ale w warunkach obecnych na zbrojną interwencję Turcji wcale się nie zanosz. Natomiast możliwe jest użyczenie daleko idącej pomocy W. Brytanii i Stanów w postaci oddania sztabom generalnym tych państw baz wojennych w Turcji. Byłaby to analogia do podobnej decyzji Portugalii. Bazy te byłyby pewnego rodzaju gwarancją zabezpieczenia interesów tureckich w ostatnim końcowym stadium wojny.

Zagadnienia dotyczące polityki tureckiej są dla nas niezwykle ważne. Interesy Polski i Turcji są w wielu wypadkach bardzo zbliżone. Oba państwom chodzi o gwarancję ich niezależności, oba państwa wyklyczają koncepcję jakichś "sfer wpływów," niezgodną zresztą ani z Kartą Atlantycką, ani z faktycznymi celami wojny. Poza tym, zarówno Polska jak i Turcja znajdują się w południkowym pasie równowagi europejskiej, który biegnie od Przylądka Północnego przez Europę Środkową i Bałkany aż do Morza Czarnego. Pamiętna jest ta ogromnie energiczna reakcja prasy tureckiej na pewne, bardzo zresztą nieogłędne i niewłaściwe głosy niektórych organów prasy londyńskiej w lecie roku 1941. Poglądy, wypowiedane w tej mierze w Ankarze, zgadzały się z naszymi — i idą po linii zabezpieczenia praw i bezpieczeństwa narodów, leżących między dwoma kolosalnymi mocarstwami — Niemcami a Rosją. Polityka Ankary jest ostrożna — i konsekwentna.

T. K.

ZMIANA ADRESU

Uprzejmie zawiadamiamy naszych PT. Klientów że z dniem 1 listopada b.r. przeniesliśmy biuro i skład na :
8 HOPE STREET, WEST END, EDINBURGH.
 Tel.: 26573.
SKŁADNICA KSIĘGARSKA.

Ogłoszenia przyjmują: Advertising Offices—THE CARLTON BERRY CO.
 437, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBey 5108.